Nr 2 (269) 12.I. 1954 r. Cena 35 gr

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE

Wyższa Szkoła Ekonomiczna Biblioteka Główna Sopot

Wyrównać front

Serce i rozum dyktowały słowa zobowiązań. Wezwania partii porywały do czynu. W wysiłku całego narodu swój poważny wkład mają wyższe uczelnie — pracownicy naukowi i studenci. Uczelnia rolnicza — czy techniczna, uniwersytet — czy też akademia medyczna — wszędzie padły cenne zobowiązania, trwa wytężona praca nad ich wykonaniem.

Uczelnie rolnicze, w odpowiedzi na apel wrocławskiej WSR, zmieniły kierunek swej pracy na wsi i pogłębiły ją. Jasne się stało, że nie wystarczy, jak to często było dotychczas, ograniczać pracę do spółdzielni produkcyjnych i PGR, że trzeba zająć się również gospodarstwami indywidualnymi, pokazać i pomóc wykorzystać rezerwy, tkwiące w gospodarce drobnotowarowej.

Uniwersytet Łódzki rzucił hasło pracy w gromadach, gdzie nie ma jeszcze kół zetempowskich.

Politechnika Gdańska podjęła się pomocy w uruchomieniu produkcji z odpadków w Stoczni Gdańskiej. SGSZ zwróciła w swych zobowiązaniach uwagę na sprawę niezmiernie istotną — na wykorzystanie wszystkich rezerw tkwiących wewnątrz uczelni, uruchomiła szereg środków mających pogłębić wiedzę studentów, wzbogacić ich życie kulturalne i ułatwić naukę.

Długa byłaby lista zobowiązań i uczelni, gdybyśmy chcieli wymienić choćby te najważniejsze, najistotniejsze. Niemała w tym zasługa organizacji ZMP-owskiej na wyższych uczelniach, która potrafiła doprowadzić treść uchwał IX Plenum do ogromnej większości studentów, pobudzić ich zapał i ująć go w zorganizowane ramy.

Od chwili, gdy odbyło się IX Plenum KC PZPR upływa już dwa i pół miesiąca. Coraz częstsze są listy do redakcji, mówiące nie tylko o podejmowaniu zobowiązań, ale i o ich realizacji. Systematycznie wyjeżdża na wieś wrocławska WSR, wykonała już znaczną część pomocy naukowych dla szkół wiejskich łódzka PWSP, wysyła swe czołówki sanitarne w teren krakowska Akademia Medyczna.

Czy jednak na wszystkich uczelniach realizacja zobowiązań przebiega sprawnie, czy objęła ona całe uczelnie, ogół studentów i pracowników naukowych?

Przejdźmy się po uczelniach warszawskich. Większość z nich przygotowywała się do wyjazdów na wieś zaraz po przerwie świątecznej, wychodząc z założenia, że wkrótce zaczyna się sesja i potem trudniej będzie zorganizować wyjazdy. Tymczasem 3-go stycznia większość zaplanowanych wyjazdów nie doszła do skutku. Ekipa Uniwersytetu Warszawskiego, jedna z nielicznych, które wyruszyły w teren, miała wyjazd źle zorganizowany, w wyniku czego ekipa dotarła tylko do Płońska, nie oglądając nawet wsi, gdzie miała dać występy artystyczne i przeprowadzić pracę agitacyjną - propagandową.

W SGGW gdzie akcja łączności ze wsią ma przecież stare tradycje, wyjazdy grupowe nie odbywają się od miesiąca. Towarzysze z SGGW tłumaczą się zmianą terenu pracy, ale to chyba nie usprawiedliwia tak długiej przerwy.

Wśród wielu zobowiązań Politechniki Warszawskiej postanowiono pomóc Warszawskiej Fabryce Motocykli. Towarzysze z Politechniki podjęli się między innymi poprawić wytaczarkę, która wskutek błędu konstruktorskiego wypuszczała bardzo poważny procent braków. Wytaczarkę częściowo rozmontowano i... od listopada czeka ona na studentów. Na interwencję przedstawiciela redakcji zarząd ZMP wydz. mechaniczno-technologicznego odpowiada, że przeszkodziła

(Dokończenie na str. 3)

LEON PASTERNAK

Marsz młodości

I

Rozkwitajcie szkarłatem ulice,
niebo z ziemią pieśniami wiąż!
Przechodniu, rozchmurz swe oblicze
i do nas, do nas, do nas łącz!

Z nami młodość, z nami radość,
z nami przyszłość!
Z nami ten, kto tworzyć chce piękniejszy świat.
I nad Wołgą, nad Wełtawą i nad Wisłą,
o to walczy nasz towarzysz i nasz brat.

Hej, ramię do ramienia,
równaj krok!
Młodości świat odmieniaj,
wbij
w dal
wzrok!

II

Niech po pracy zabawą wesołą
miejski plac się rozszumi i park!
Dziewczynę swoją porwij w koło
wciąż więcej, więcej, więcej par!

Z nami młodość, z nami radość,
z nami przyszłość!
Z nami ten, kto tworzyć chce piękniejszy świat.
I nad Wołgą, nad Wełtawą i nad Wisłą,
o to walczy nasz towarzysz i nasz brat.

Hej, ramię do ramienia,
równaj krok!
Młodości świat odmieniaj,
wbij
w dal
wzrok!

III

Niech daremnie nie płyną nam lata,
życie co dzień przekuwaj w czyn!
Młodości, tyś nadzieją świata,
pójdź z nami przeciw siłom złym!

Z nami młodość, z nami radość,
z nami przyszłość!
Z nami ten, kto tworzyć chce piękniejszy świat.
I nad Wołgą, nad Wełtawą i nad Wisłą,
o to walczy nasz towarzysz i nasz brat.

Hej, ramię do ramienia,
równaj krok!
Młodości świat odmieniaj,
wbij
w dal
wzrok!

Jesteśmy gotowi

Za kilka dni sesja — sprawdzian naszej pracy, wysiłków, wytrwałości. Tych, którzy systematycznie pracowali nad książką czy w laboratorium — sesja nie zaskoczy, nie będzie dla nich niespodzianką, ani „loterią". Oni mogą spokojnie powiedzieć: „Jesteśmy gotowi".

(Foto: A. Musiał)

Jestem studentem III roku wydziału dyplomatyczno-konsularnego SGSZ w Warszawie. Od początku studiów nauka idzie mi dobrze, a w ostatniej sesji egzaminacyjnej zdałem wszystkie osiem egzaminów na bardzo dobrze. Co jest przyczyną tych wyników, które osiągam, pracując równocześnie w KU ZSP i w kole naukowym marksizmu-leninizmu? Wydaje mi się, że dobre wyniki osiągam przede wszystkim dzięki systematycznej nauce. Sesja jest dla mnie jedynie powtórzeniem i usystematyzowaniem przyswojonego w trakcie kilkumiesięcznej nauki materiału.

W zimowej sesji egzaminacyjnej będę zdawał 5 egzaminów. Wiadomości mam już w ogromnej większości przyswojone głównie na podstawie notatek, które prowadzę bardzo szczegółowo. Konspekt taki rozwijam i pogłębiam studiując literaturę zaleconą, stale uzupełniam go nowymi myślami i uwagami.

W systematycznym uczeniu się pomogły mi również prace audytoryjne, które były bardzo pomocne w zrozumieniu i przyswojeniu sobie przerabianego materiału. Niezależnie od organizowanych zbiorowo repetytoriów, wszystkie niejasne kwestie starałem się wyjaśnić z asystentami, a nie formalnie i powierzchownie „obkuć".

Uważam więc, że w pełnej gotowości stanę do zimowej sesji egzaminacyjnej. Dołożę wszelkich starań również i w okresie, który nas jeszcze dzieli od sesji, by nie zawieść zaufania władz uczelni i kolektywu mojej grupy, by II Zjazd PZPR przywitać dobrymi wynikami w nauce.

TADEUSZ ZARĘBA
SGSZ — Warszawa

*

Sesja egzaminacyjna — to sprawa, o której myśleliśmy i mówiliśmy w kolektywie, w którym uczę się już od dawna. Wkrótce po rozpoczęciu roku akademickiego rozplanowaliśmy swoją pracę. Kolektyw nasz zaczął się systematycznie zbierać. Przygotowywaliśmy wspólnie ćwiczenia z zastosowań analizy matematycznej, z geometrii wyższej, z fizyki teoretycznej. Powtarzaliśmy trudniejsze partie materiałów, dyskutowaliśmy na tematy dotyczące teorii wychowania, wspólnie omawialiśmy hospitowane lekcje, prowadzone przez członków naszej sekcji.

W zespole mówiliśmy nie tylko o naszej nauce, ale również o osiągnięciach i trudnościach w pracy społecznej, czy też w pracy nad sobą. W ciągu trzech miesięcy, jakie nas dzielą od początku roku akademickiego, staliśmy się kolektywem, w którym wszyscy odpowiadają za losy, za naukę każdego. Moje dotychczasowe dobre wyniki w nauce w dużej mierze zawdzięczam kolektywowi, zaś nadchodząca sesja z pewnością także to potwierdzi.

Dalszym bodźcem do wytrwałej nauki jest umiłowanie przyszłego zawodu. Ilekroć siedzę nad książką czy notatkami, przygotowuję lekcję, którą mam poprowadzić — myślę o czekającej mnie już wkrótce pracy. Chcę w przyszłości być dobrym nauczycielem matematyki i wychowawcą młodzieży. Wiem, że pragnienie swoje będę mogła zrealizować, jeżeli będę posiadała głęboką i gruntowną wiedzę nie tylko z dziedziny matematyki, a zdobyć ją mogę właśnie na studiach.

Dlatego czekam nadchodzącej sesji z uczuciem zadowolenia i radosnego niepokoju, jakie daje człowiekowi przeświadczenie o dobrze spełnionym obowiązku i należycie wykonanej pracy.

WANDA CHACHAJ
PWSP — Warszawa

*

Nadchodzi sesja egzaminacyjna. Często można zaobserwować u niektórych studentów obawę przed wynikiem egzaminów. Wyrażają oni zdanie, że egzamin to loteria. Lęk jest uzasadniony, ale tylko wtedy, gdy student zaczyna się uczyć na kilka dni przed egzaminem.

Znaczna część studentów, do których i siebie zaliczam, idzie na egzamin zupełnie pewnie. Czym to można wytłumaczyć? To proste: najważniejsza jest systematyczna praca przez cały okres studiów, każdorazowe przygotowywanie się na ćwiczenia i wykłady. Drugim czynnikiem jest organizowana co pewien czas kolektywna powtórka materiału, podczas której uzupełnia się braki i gdzie można nauczyć się mówić, mając przed sobą słuchaczy. Po trzecie należy omawiać zagadnienia, których nie można rozgryźć samemu na konsultacjach i repetytoriach.

Zdziwią się może niektórzy, że wśród tych czynników nie wymieniłem zdolności. Nie zapomniałem o tym, ale uważam, że przy systematycznej pracy rola zdolności spada na dalszy plan, a wysuwają się na czoło: pracowitość, cierpliwość, wytrwałość — czyli elementy, które może wyrobić sobie każdy z nas.

Sumując te uwagi, sądzę, że wszyscy mogą bez drżenia przekraczać progi sali egzaminacyjnej bez względu na to, czy są bardziej czy mniej uzdolnieni, tylko dzięki temu, że chcą się dobrze uczyć.

KONRAD SUTARSKI
SI — Poznań

Sprawa warta dyskusji

Zdzisiek Tchorzewski, Romek Rębacz, Teresa Socha i wielu, wielu innych, (niemal co dziesiąty student I roku WSE w Poznaniu) — zrezygnowali ze studiów już w pierwszych miesiącach nauki. Dlaczego? Powodem odejścia u większości z nich był podobno „strach" przed chemią czy matematyką. Sądzili oni, że studia na WSE będą łatwiejsze, a przekonawszy się o rzeczywistości — rezygnowali.

A co na to uczelnia, co na to ZMP? W okresie największego odpadu (listopad) dziekanaty odsyłały rezygnujących ze studiów do ZU ZMP, na „upolitycznienie". A w ZU ZMP — mimo specjalnej narady na ten temat — niewiele zrobiono. W wyniku tzw. rozmów indywidualnych przekonano tylko dwóch rezygnujących.

Nie zorganizowano na czas pomocy naukowej dla rozpoczynających studia, to fakt. Ale co ważniejsze — nie pokazano pierwszorocznikom p o c o mają się uczyć, k o m u ich wiedza będzie potrzebna, j a k będzie wyglądała ich przyszła praca zawodowa. Zabrakło pracy nad tym, aby rozbudzać zainteresowanie i zamiłowanie do obranego kierunku studiów, do przyszłego zawodu. A ten brak mści się nie tylko na I roku studiów.

Gdy rozmawiałem o tym z przewodniczącym ZU ZMP, kol. Weissem — ten poza pracą kół naukowych nie widział tu innych form pracy. A przecież koła naukowe nie skupiają najszerszych mas młodzieży, szczególnie na I roku. A gdyby nawet — to czy można całą pracę nad rozbudzaniem zamiłowania do przyszłego zawodu „zwalić" wyłącznie na koła naukowe? Czy zamiłowanie takie nie jest podstawą tego, o co nam wszystkim najbardziej chyba chodzi — wyrobienia w sobie twórczego stosunku do nauki?

Tymczasem na naszych studiach mało mówi się o przyszłym zawodzie, o jego znaczeniu dla naszego kraju, dla budownictwa socjalizmu. Nie mówi się o tym (lub mówi się zbyt ogólnikowo) na naszych zebraniach, nie wykorzystuje się tu materiałów z IX Plenum KC PZPR Gdy przeglądałem gazetki poszczególnych grup z ubiegłego roku akademickiego — to choć było ich sporo, w żadnej nie natrafiłem na choćby jedno słowo o przyszłej pracy absolwenta.

W podejściu wielu spośród nas do nauki brak zupełnie perspektywy przyszłej pracy, brak poszukiwania już dziś punktów stycznych między wiedzą zdobywaną na uczelni a naszą przyszłą, samodzielną pracą. Studia często traktuje się jako cel sam w sobie — aby tylko zdać, zrobić dyplom. A to jest niewątpliwie punkt oparcia dla szkolarskiego i konsumpcyjnego stosunku do studiów.

Jakże dużo mogłyby nam tu pomóc na przykład spotkania z absolwentami uczelni — gdyby opowiedzieli nam o swojej pracy, o osiągnięciach i trudnościach, o tym jak wiedza zdobywana na uczelni jest im w praktyce potrzebna i jak uczyliby się, gdyby teraz ponownie znaleźli się na tych samych studiach. Wiele słyszy się o niepełnym przygotowywaniu absolwentów do przyszłej pracy, a jakoś nie potrafimy wyciągać z tego konkretnych wniosków dla naszej pracy na uczelni. Czy ta sprawa nie powinna być osią, wokół której utrzymywalibyśmy zainteresowanie przyszłą pracą? Czy nie tędy droga do twórczego stosunku do nauki?

Również wiele mogłoby nam dać czytelnictwo prasy fachowej i naukowej z dziedziny naszego kierunku studiów. Co prawda w świetlicy KU ZSP w ubiegłym roku „obijała się" „Gazeta Handlowa" — ale zabrakło czasopism periodycznych głębiej zapoznających nas z problematyką życia gospodarczego, jak np. „Życie Gospodarcze" czy „Gospodarka Planowa". Zresztą nie chodzi tu o zaopatrzenie świetlicy ZSP, ale o sprawę czytelnictwa odpowiedniej prasy — czytelnictwa, którego brak. Ani władze uczelni, ani ZMP nie doceniają jeszcze tej sprawy.

Oczywiście wszystkie te spotkania, dyskusje, gazety — to tylko „dodatkowe" formy wyrabiania w sobie zainteresowania i zamiłowania do przyszłego zawodu. Najważniejsze, aby pracą tą przesycić całe c o d z i e n n e życie na uczelni — przede wszystkim pracę wykładowców i asystentów oraz naszą działalność zetempowską. Trzeba tylko, aby wszystkim — i naukowcom i studentom — sprawa ta leżała zawsze na sercu, by zawsze o niej pamiętali. A tak jeszcze nie jest. Nie wszystkie wykłady i ćwiczenia prowadzone są tak, aby pobudzać nas do samodzielnego rozszerzania wiadomości. Oderwanie pracy uczelni od potrzeb i zainteresowań studentów daje się odczuć i kiedy indziej.

Na przykład ostatnio studenci naszej uczelni wiele mówią o dokonanej reformie studiów ekonomicznych i mamy tu różne niejasności. Ale ze strony pracowników naukowych lub ZU ZMP zabrakło inicjatywy wyjaśnienia tych spraw. A przecież, gdy ma się takie wątpliwości, gdy nie wie się dlaczego uczymy się tak a nie inaczej — trudno o naprawdę twórczy stosunek do nauki.

Inny przykład, to przydział poszczególnym grupom studenckim specjalności. Abstrahując od tego, że sam sposób przydziału uniemożliwiał wybór kierunku specjalizacyjnego — to przecież nadaniu poszczególnych specjalności, powinno towarzyszyć wyjaśnianie ich charakteru. Tymczasem ci, których spotykam, pytają: „A co oznacza specjalność budżetu?", „A co będę robić po ukończeniu specjalizacji ubezpieczeń?". No i jak na razie nie ma kto na te pytania odpowiedzieć.

I jeszcze jeden przykład. Wiadomo, że konferencje teoretyczne odgrywają dużą rolę w rozbudzaniu zainteresowań naukowych, w walce ze szkolarstwem. Konferencja teoretyczna na naszej uczelni jest obecnie w stadium organizowania i już teraz wysuwają się poważne trudności. Np. katedra planowania gospodarki narodowej zdecydowanie odmawia udziału w konferencji tłumacząc się... nawałem innej pracy naukowej. Wykładowcy i asystenci innych katedr nie wyjaśniają i nie propagują tematu i zadań konferencji. Gdzie tu zrozumienie dla naprawdę p o d s t a w o w y c h zadań pracy dydaktyczno-wychowawczej?

Jeżeli studiowanie ma być ze strony studenta procesem aktywnym, świadomym przygotowaniem się do udziału w socjalistycznym budownictwie — konieczne jest zwrócenie znacznie większej niż dotychczas uwagi na wyrabianie w nim zainteresowania i zamiłowania do obranego kierunku studiów i przyszłej pracy zawodowej. Myślę, że inni czytelnicy zgadzają się z tym stanowiskiem i uzupełnią moje luźne uwagi dalszymi przykładami i dalszymi wnioskami. Sprawa ta naprawdę warta jest dyskusji.

ZYGMUNT SABIŁŁO
WSE — Poznań

JANUSZ TRUSZCZYŃSKI

WOŁODIA WYZWALAŁ WARSZAWĘ

Wieczorem odwiedziliśmy Wołodię. Wizytę tę planowaliśmy od dawna: nęciła nas perspektywa pogawędki z seniorem naszego czwartego roku dziennikarstwa, uczestnikiem Wojny Ojczyźnianej Związku Radzieckiego.

Włodzimierz był w domu. Wystrojony, w wojskowej marynarce z dwoma długimi pasemkami różnokolorowych wstążeczek. Natychmiast „napadliśmy" na niego:

— Słuchaj, Wołodia, nosisz medal „Za Warszawę", więc opowiedz nam o jej wyzwoleniu.

Włodzimierz nie był specjalnie zachwycony naszą propozycją, lecz widząc, że łatwo nie ustąpimy, zaczął opowiadać:

— Początek całej historii sięga czasu, gdy byłem jeszcze sztubakiem, uczniem dziesiątej klasy. Słuchałem wtedy cierpliwie matczynych perswazji na temat ciepłego ubrania, spod oka rzucałem spojrzenia na ojca, gdy wracał zdenerwowany z zebrania zarządu kołchozu, dziesiątki razy zaczynałem awantury z siostrą, aby po chwili zawierać „wieczne przymierze". Chodziłem na zebrania komsomolskie, gdzie gorąco dyskutowaliśmy o bieżących wypadkach wojennych. No i oczywiście — kochałem się. Na imię miała — Lila. Była blondynką, z niedużym perkatym noskiem.

I nagle wszystko się zmieniło. Był, tak jak i dzisiaj, świąteczny grudniowy dzień. Ojciec rzekł wtedy tylko kilka słów:

— Cóż, bohaterze, idź w takim razie na wojnę. — W jego ręku ujrzałem moje wezwanie mobilizacyjne.

Nad moimi wszystkimi uczuciami wyraźnie dominowało niecierpliwe, radosne podniecenie.

W domu panował uroczysty nastrój. Ojciec pod maską surowości ukrywał wzruszenie, matka wycierała zaczerwienione oczy, siostra (nareszcie) wodziła za mną wzrokiem, w którym wyczytałem niekłamany zachwyt. Zdążyłem się jeszcze zobaczyć z Lilą, krótka rozmowa, przyrzeczenia, plany na przyszłość.

Okres przeszkolenia w szkole podoficerskiej minął szybko. Niedługo przeszedłem swój chrzest bojowy. Było to pod Mozyrem na Białorusi, skąd przerzucono nas potem do Łotwy, a stamtąd do Polski na przyczółek po lewej stronie Wisły przy ujściu Pilicy.

Wykonywałem tam nieskomplikowane zadania. Jako topograf zajmowałem miejsce w artyleryjskim punkcie obserwacyjnym i nakreślałem na mapie miejsca stanowisk ogniowych przeciwnika. Wieczorem wracałem do ziemianki, grzałem koło piecyka zziębnięte ciało i marzyłem. O czym? Najczęściej chyba... o końcu wojny. Taki był ze mnie, widzicie, bohater.

Wołodia uśmiechał się, mrużąc przyjaźnie oczy.

— Po raz któryś tam z rzędu czytałem listy. Ojciec donosił mi o swych kołchozowych kłopotach, matka kreśliła kilka ciepłych słów, Lila prosiła mnie, abym wrócił żywy i koniecznie odznaczył się w boju. Przyznam się, że listy siostry trochę mnie denerwowały. Pisała o swej szkole, o koncertach Borodina, Czajkowskiego...

(KORESPONDENCJA WŁASNA)

— Masz tobie — myślałem — ty tu sterczysz gdzieś na pogórku, służysz stale faszystom za cel, marzniesz, aż ci ciało sztywnieje, a ona tam zachwyca się wzniosłą, spokojną muzyką.

Dni mijały za dniami. Na mej mapie nie było już prawie pustych miejsc. Wszystko jasne jak na dłoni.

Przygotowywało się coś nadzwyczajnego. Nikt o tym nie mówił, jednak wszyscy myśleli. W nocy 14 stycznia przesunięto mnie do przedniej linii okopów, do dyspozycji dowódcy dywizjonu. Mróz diabelski. Z ust leciały obłoki pary. Trwaliśmy w czujnym oczekiwaniu.

I wtem zaczęło się. Przewaliło gromem przez całą linię frontu, zawyło, zahuczało. Rozsadzało nam głowy, nerwy rwały się na strzępy.

Piechota siedziała przyczajona do ścian okopów. Oczekiwaliśmy sygnału. Obok mnie komsomolec, dowódca drużyny wydawał swym chłopcom ostatnie polecenia. Potem przykucnął naprzeciwko. Rzuciłem nań spojrzenie: niesforne czarne włosy wyglądały spod uszanki, zauważyłem dziewczęce prawie spojrzenie i piękne gęste brwi. Cmił papierosa.

— Chcesz zapalić?

— Daj.

Kilka słów, zwilżony jego ustami „okurek" dodały otuchy.

Reprodukcja obrazu Leona Wróblewskiego na którym utrwalony został moment pierwszej defilady Ludowego Wojska Polskiego w zburzonej Warszawie.

— Chciałoby się prędzej, co?

— Aha.

— I wrócić do domu, prawda?

— Aha.

— Bliscy są?... Oczekują na pewno, co?

— Czekają.

Wtem błysnęła krwawo czerwona rakieta. Dowódca plutonu dał rozkaz „do ataku". I oto ten niepozorny, cichy, dziewczęcy chłopiec wydostawszy się jednym sprężystym skokiem na powierzchnię, krzycząc nieludzkim silnym, przejmującym głosem: — Za ojczyznę! Za Stalina! — pierwszy ruszył do ataku.

Pognaliśmy za nim. Dziesiątki, setki, tysiące nas poleciało wprost na faszystów. Tak zaczął się bój o Warszawę...

Nie pobiegł jednak z nami daleko komsomolec, dowódca drużyny. Padł zaraz na zrębie okopu, zatrzepotał rękoma jak ptak zrywający się do lotu...

Do Warszawy wkroczyliśmy po południu siedemnastego stycznia. Szczerze mówiąc, Warszawa była dla mnie dotąd jedynie miejscem na mapie, które trzeba umieć pokazać w czasie egzaminu drewnianą pałeczką oraz wybąkać o nim kilka zdań zapamiętanych z podręcznika.

Od tego dnia stała się czymś więcej.

Warszawa — to pamięć o poległych komunistach, komsomolcach, ludziach radzieckich, pamięć o dzielnych polskich żołnierzach.

To wspomnienie mroźnych dni, zgliszcz, czarnych oczodołów wypalonych kamienic. To obrazy bohaterskich mieszkańców wracających do niej z zawiniątkami na plecach. To wizja przyszłej wówczas, a rzeczywistej dziś Warszawy, którą roztaczał przed naszymi oczyma, ugoszczony przez nas na postoju stary warszawski robotnik. Trudno nam było wtedy wierzyć w słowa słaniającego sie ze zmęczenia staruszka, ale mówił tak przekonywająco, tak gorąco, z takim zapałem, że uwierzyliśmy.

Podeszła do nas wówczas także pewna kobieta. Nie wiem, może swoim dziecięcym wyglądem, może chudą twarzą (byłem już dwa razy ranny) zwróciłem jej uwagę na siebie. Pogłaskała mnie po włosach, sięgnęła ręką do zawiniątka. Domyśliłem się, o co jej chodzi. Zaoponowałem:

— Nie trzeba, matko, my mamy tu wszystkiego pod dostatkiem, idźcie do domu, żyjcie w spokoju.

Cofnęła się zażenowana, lecz radośnie zamachała do nas ręką:

— No, cóż? W takim razie szczęśliwej drogi, synku! Niech Bóg was prowadzi.

I z daleka jeszcze jedno słowo: dziękujemy.

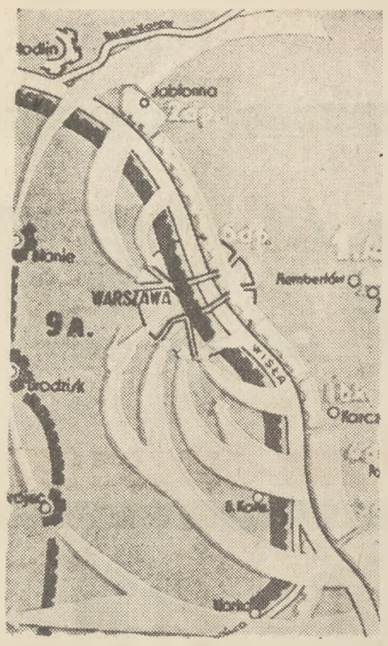

Szkic obrazujący przebieg działań w wyniku których została wyzwolona Warszawa.

Czułem się szczęśliwy. Któż z was nie przeżywał takiej chwili? Gdy wszystko jest dotąd dla ciebie niby jasne, zrozumiałe, ale oto spotykasz się nagle z drobnym na pozór faktem i on przemawia ci wprost do serca, do duszy, nie tytaniczną wielkością, a właśnie dziwnie wymowną prostotą. Ty przecierasz ze zdumieniem oczy i zapytujesz samego siebie: czy rzeczywiście wszystko było dotąd tak jasne?

Podobnie było i wówczas. Do tej pory wyzwoleńczą misją naszej armii był dla mnie bojowy szlak: Mozyr — Warszawa, pogadanki na zebraniach komsomolskich, artykuły prasy przyfrontowej, od tej zaś chwili — wymizerowane, sterane oblicze z gorejącymi oczyma, w których tańła się radość i podziękowanie.

— Ech, chłopcy! Wspaniały wasz naród, mocni ludzie ci warszawiacy. Przejeżdżałem przez waszą stolicę w pięćdziesiątym roku. Nie wierzyłem własnym oczom: nowe szerokie ulice, place, nowe gmachy. Widziałem tętniące życiem miasto. Zachwyt i słowa największego uznania dla budowniczych nowej Warszawy — to uczucie, które mnie ogarnęło i z którym powróciłem do ojczyzny.

To wszystko! Widzicie więc, że w mej opowieści nie znaleźliście nic niezwykłego, nic nadzwyczajnego, prawda?

— Z jednej strony masz rację, Wołodia, ale...

Nie pozwolił nam dokończyć.

— Nie ma o czym mówić! Wszystko jest jasne i proste. Każdy z nas przecież chce żyć tak...

Ukazał ręką. W głębi, za oknami, rozciągała się panorama Kijowa. Czerwone cekiny lamp wieży telewizyjnej wetkane w czarny aksamit nocy. Rzędy jarzących się paciorków ulicznych latarń, barwna, neonowa mozajka witryn sklepowych, organiczny dźwięk samochodowych klaksonów, niewyraźny gwar świątecznych tłumów ulicznych. Wsparłszy się ramionami chciwie słuchaliśmy odgłosów radosnego, świątecznego rytmu wielkiego miasta, który tak bardzo przypominał nam miasto naszych marzeń i snów — Warszawę.

Kijów, grudzień 1953.

Z perspektywy tygodnia

„Wszystkie narody pragną trwałego pokoju i istnieją sprzyjające możliwości dla dalszego osłabienia napięcia międzynarodowego w roku 1954. Rządy, a przede wszystkim rządy wielkich mocarstw, nie mogą nie przysłuchiwać się głosowi narodów i nie mogą nie liczyć się z ich wzmagającym się dążeniem do trwałego pokoju. Co się tyczy rządu radzieckiego, to czynił on, czyni i będzie nadal czynić wszystko, aby narody żyły w pokoju, aby napięcie międzynarodowe uległo osłabieniu i ustanowione zostały normalne stusunki między państwami".

Oto są słowa, w których w wywiadzie udzielonym dyrektorowi filii amerykańskiej agencji „International News Service" w Europie p. Kingsbury Smith, Przewodniczący Rady Ministrów ZSRR Malenkow zamknął bilans walki narodów w ubiegłym roku o pokój na świecie. Oto są słowa, którymi Przewodniczący Rady Ministrów ZSRR nakreślił perspektywy nowego — 1954 roku. Oto są słowa, w których Malenkow jeszcze raz dał wyraz zasadom radzieckiej polityki zagranicznej, głoszącej możliwość pokojowego współistnienia różnych ustrojów, wskazującej sposoby rozwiązywania spornych spraw, kierującej się niezmiennym pragnieniem oszczędzenia ludzkości od kataklizmu nowej wojny. A są to przecież życzenia, z którymi rok nowy spotykały miliony ludzi w całym świecie, niezależnie od dzielących je różnic politycznych, niezależnie od koloru skóry i rasy, niezależnie od wiary, którą wyznają.

Pokoju, szczęścia osobistego i rozkwitu ojczyzny — oto życzenia, z którymi nowy rok witały narody krajów demokracji ludowej, opromienione sukcesami budowy nowego szczęśliwego życia. Z takim życzeniem na ustach witał również rok nowy wielki, wspaniały naród chiński, tak stary swą historią, a tak młody swym twórczym entuzjazmem. Pokoju i prawa do urządzenia swego życia wedle własnej woli — oto pragnienie, z którym nowy rok spotykał walczący o wolność swego kraju żołnierz armii ludowej Vietnamu, koreański chłop i robotnik, który po raz pierwszy od trzech lat w tę noworoczną noc nie nasłuchiwał warkotu lecących samolotów. Prawa do ludzkiej egzystencji i wyzwolenia z kolonialnego jarzma — oto życzenia, którymi spotykali nowy rok mieszkańcy brytyjskiej Gujany, robotnicy amerykańskich plantacji bawełny na Kubie, pogrążeni na samym dnie rasistowskiego ghetta czarni mieszkańcy Unii Południowo-Afrykańskiej.

Z takim gorącym pragnieniem witały także rok nowy narody krajów europejskich, jak np. naród francuski, dla którego trwałe odprężenie sytuacji międzynarodowej i porozumienie między narodami, to odsunięcie koszmarnego widma militaryzmu niemieckiego, odbudowywanego pod szyldem „armii europejskiej". Dla których, jak np. dla narodów Wielkiej Brytanii, Belgii, Holandii, Włoch, Danii, Norwegii, nie wyłączając Stanów Zjednoczonych, odprężenie w sytuacji międzynarodowej, to zaprzestanie rujnującego wyścigu zbrojeń, to masło i chleb zamiast armat, to praca dla pokoju zamiast strachu przed groźbą wojny. Dla których wreszcie, jak np. dla narodu niemieckiego, odprężenie w sytuacji międzynarodowej i porozumienie, to przywrócenie jedności rozdartego kraju, to droga do zajęcia właściwego miejsca w Europie.

Więc nie ma na kuli ziemskiej narodu, który by słów Malenkowa nie powitał jak najlepszego noworocznego życzenia. I nie ma też narodu, który by na przykładzie minionego roku nie przekonał się o ich słuszności, którego pokojowe osiągnięcia minionego roku nie utwierdziłyby w przekonaniu, że jeśli narody wezmą w swe ręce sprawę obrony pokoju — potrafią ją obronić wbrew garstce podżegaczy.

Oto weźmy np. sprawę Korei. Ileż to brudnych interesów łączyło gangsterskie koła kapitalizmu amerykańskiego z wojną w Korei. A przecież wola narodów okazała się silniejsza i pod naciskiem pokojowej opinii publicznej zamilkły działa na froncie koreańskim. Weźmy dalej sprawę osławionej „armii europejskiej". Wszak to już w styczniu ub. roku John Foster Dulles w czasie swej pierwszej oficjalnej wizyty w Europie, jako nowy sekretarz Departamentu Stanu zagroził Francji ultimatum, o ile układ o „armii europejskiej" nie zostanie ratyfikowany. Przerażeni groźbą francuscy ministrowie posłusznie obiecali. Ale oto przeszedł czerwiec i lipiec, sierpień i wrzesień, październik, listopad i grudzień, minęła jedna konferencja i druga — rady atlantyckiej w Paryżu i trzech mocarstw zachodnich na Bermudach. Dulles ponowił swe ultimatum, a układ o „armii europejskiej" jak czekał, tak czeka na ratyfikację. Zamiast układu zaś, który miał przygwoździć podporządkowanie Francji militarystom z Bonn i zagrodzić drogę zjednoczeniu Niemiec, rządy mocarstw zachodnich musiały się zgodzić na konferencję czterech w Berlinie. Zamiast oczekiwanej kapitulacji Francji — potężny solidarny protest narodu.

I nie jest przypadkiem, że w oświadczeniu swym premier rządu radzieckiego tak dużo ciepłych słów poświęcił narodowi amerykańskiemu: „Z całego serca życzę narodowi amerykańskiemu szczęścia i spokojnego życia" — powiedział premier Malenkow. — „Uważam, że nie ma obiektywnych przeszkód aby w nowym roku stosunki między Związkiem Radzieckim i Stanami Zjednoczonymi uległy polepszeniu i aby zacieśniły się tradycyjne więzi przyjaźni między narodami naszych krajów".

Czyż słowa te nie stanowią dobitnej odpowiedzi na wynurzenia tych amerykańskich kół politycznych, które z odmienności ustrojów USA i Związku Radzieckiego usiłują ukuć argument o nieuniknioności konfliktu między nimi, usiłują posiać wrogość między nimi, usiłują usprawiedliwić swój wyścig zbrojeń? Mówiąc, iż nie ma obiektywnych przeszkód, aby stosunki między obu wielkimi krajami uległy poprawie, premier Malenkow nie tylko obala te kłamliwe teorie. Jego życzenia szczęścia i pomyślności dla narodu amerykanskiego wyrażają ponadto to głębokie przekonanie, któremu niejednokrotnie dawał wyraz rząd radziecki. Przekonanie, że rozwój pokojowej gospodarki amerykańskiej nie tylko nie koliduje z interesami narodów obozu socjalizmu, z interesami pokoju, ale przeciwnie, mógłby się przyczynić do wzajemnego zbliżenia, a przez to do usunięcia koszmaru nowej wojny.

Zrozumiałe jest więc, iż mówiąc dalej o podstawowych zagadnieniach, których uregulowaniu poświęcić należy w nowym roku najwięcej uwagi, Malenkow wymienił zagadnienie stosowania broni atomowej. Wszak dziś po utracie monopolu atomowego przez Stany Zjednoczone, bomba atomowa przestała już być owym instrumentem, przy pomocy którego amerykańscy stratedzy atomowi chcieliby wygrać wojnę o panowanie nad światem. Dziś broń atomowa, to broń obosieczna, grożąca zarówno krajom Europy jak i Stanom Zjednoczonym. Wydaje się więc, że słuszności postawienia tego zagadnienia jako najdonioślejszego, zagadnienia, od którego w decydującej mierze zależy przywrócenie zaufania w stosunkach międzynarodowych, nie trzeba udowadniać.

Tak więc wypowiedź premiera Malenkowa zamykając i podsumowując niejako osiągnięcia roku ubiegłego i wytyczając najważniejsze zadania nowego roku, wyraża zarazem nadzieje i pragnienia wszystkich uczciwych ludzi w świecie — w Związku Radzieckim i w krajach demokracji ludowej, we Francji i w Anglii, w Stanach Zjednoczonych. Wszędzie, gdzie u progu nowego roku spotykali się ludzie z wzajemnymi życzeniami szczęścia, pokoju i wolnej od trosk i obaw przyszłości.

HENRYK KASSYANOWICZ

Nie dwa i pół mil. lecz co najmniej 20 milionów analfabetów żyje w USA

Obywatele Ameryki są pozbawieni wielu praw, ale szczególnie wyraźnie uwidacznia się to w dziedzinie oświaty. **„W USA jest 2,5 miliona analfabetów"** — głosi napis nad wykresem zamieszczonym w gazecie „Chicago Sun Times".

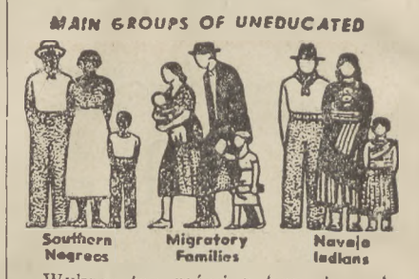

Wykres ten mówi o tym, że najwięcej analfabetów spotykamy wśród Murzynów (przeważnie ze Stanów Południowych), wśród robotników rolnych i Indian z plemienia Navaho.

To, że mniejszości narodowe w USA nie mają dostępu do nauki jest jeszcze jednym dowodem dyskryminacji rasowej i ucisku narodowościowego w Stanach Zjednoczonych.

Ale należy dodać, że wspomniana gazeta celowo pomniejsza liczbę analfabetów i stara się ukryć fakt, że analfabetyzm jest powszechną plagą w USA. Zajrzyjmy do wydanej przez Międzynarodowy Związek Pracowników Oświaty książki „Kryzys w szkolnictwie amerykańskim". Dowiemy się z niej, że przed II wojną było w USA 3 mil. osób, które wcale nie uczyły się i 10 mil. osób, które tak krótko uczęszczały do szkoły, że należy je uważać za analfabetów. Po wojnie sytuacja zmieniła się na gorsze. Według niepełnych danych z 1952 roku wynika, że 20 mil. dorosłych osób nie posiada sztuki czytania i pisania, 8 mil osób nie ukończyło 5 klas szkoły podstawowej, a 6 mil. dzieci, z powodu trudnej sytuacji materialnej, w ogóle nie uczęszcza do szkół.

Rząd USA, przeznaczając lwią część budżetu na zbrojenia, na oświatę zaś marne grosze — pozbawił miliony dzieci szkoły. W 1953 roku Komisja Budżetowa USA zmniejszyła dotacje na ochronę zdrowia, oświatę i akcję socjalną o 31 procent w porównaniu z rokiem 1953. To właśnie było powodem podania się do dymisji b. pełnomocnika rządu USA do spraw oświatowych — Errla Macgratha, który chciał w ten sposób zaprotestować przeciwko nieustannemu redukowaniu środków na oświatę. Macgrath oświadczył niedawno: **„Szkolnictwo w USA znajduje się w stanie takiego upadku, że gdybyśmy chcieli je naprawić, to nie da się tego uczynić nawet w ciągu 5—6 lat".**

L. S.

RENE ANDRE

Nuatri ni maritamu cu la terra

„W ostatnich tygodniach Włochy stały się widownią niecodziennych wydarzeń. W czterech wielkich prowincjach Południa — Apulii, Lukanii, Kampanii i Kalabrii — a obecnie także i na Sycylii, legiony bezrolnych chłopów wyruszyły z czerwonymi sztandarami, aby zająć i uprawić leżące odłogiem tereny wielkich obszarników Południa. Przez dziesiątki lat pozostawiona bez uprawy ziemia zamieniła się w międzyczasie w pustynię. Teraz całe wsie i okolice ruszyły się. Setki, tysiące pługów przeoruje ziemię, która od lat leży odłogiem. Mężczyźni, kobiety i dzieci kopią i ryją z taką zaciętością, jakby to chodziło o ich własne życie. Po zapadnięciu zmroku, gdy większość robotników rolnych wraca już do domów, na zajętych obszarach czuwają straże, które mają uchronić zasianą ziemię przed sługami obszarników".

T. kimi słowami opisywał na wiosnę 1950 roku korespondent angielskiego tygodnika „New Statesman and Nation" wydarzenia, które jak lawina ogarnęły całe Południe Włoch i Sycylię, kraj wiecznej nędzy i głodu, ciemnoty i władztwa najstraszniejszej reakcji. „Z tej rewolty może się zrodzić rewolucja" — pisał wspomniany tygodnik.

„Saccheggia" — „bunty chłopskie" nie są w Kalabrii nowiną. Od wieku, a górą co parę lat, bezrolni wychodzą na pańskie ugory, aby je uprawić. Ale potęga panów feudalnych wydawała się do niedawna niezwalczona. W ostatnich latach chłopi kalabryjscy wyciągnęli naukę z lat krwawych doświadczeń: w pojedynkę nigdy nie będą w stanie stawić oporu karabinierom. Dopiero pod przewodem klasy robotniczej, pod kierownictwem partii komunistycznej narodziły się pierwsze związki najemników rolnych, powstały pierwsze we Włoszech spółdzielnie rolnicze.

W hieratycznym geście podnosili skiby ziemi do nieba, pokazując je z kolei jeden drugiemu...

Było jeszcze zupełnie ciemno, gdy wyruszyliśmy z Neapolu, aby dotrzeć do obszarów, które od lat objęte są „wojną chłopską". Gdy wąską ścieżyną dla mułów auto nasze z trudem pokonuje wzniesienie terenu — nagle zza zakrętu pojawia się najpierw osioł, a za nim jego właściciel, stary chłop kalabryjski. Vito Ragusa liczy już dobrze ponad 70 lat. Ile dokładnie — tego sam nie wie. Rozsiadamy się na stopniach samochodu. Szybko znajdujemy wspólny język. Stary Vito opowiada o ostatnich wypadkach w swojej wiosce. W lapidarnym skrócie przedstawia nam dążenia włoskiego proletariatu i chłopstwa: „Cztery rzeczy są nam potrzebne — mówi — ziemia, woda, drogi i praca". To samo powtarzają wszyscy: chłopi i robotnicy, braccianti i mezzadri (dzierżawcy), nawet sam signor sindaco czyli burmistrz.

Nędza tu straszliwa. Bezrolni chłopi, braccianti, nieczęsto mają na sól czy mąkę. Nierzadko nie mogą sobie pozwolić nawet na kupno maleńkiej rybki — tego pożywienia biedaków.

„Południe jest kolonią Północy" — mówi mój przyjaciel, dr. Giorgio.

„Nie bardzo ciebie rozumiem — przerywam. — Przecież zarówno Południe jak i Północ stanowią jedynie części tego samego kraju, tych samych Włoch."

„Widzisz — odpowiada Giorgio, miejscowy działacz partii komunistycznej — przyczyny są zarówno historyczne jak i diabelskie. Rewolucja burżuazyjna ogarnęła swego czasu jedynie północne i środkowe prowincje Włoch. U nas, na południu, własność feudalna nigdy właściwie nie została zlikwidowana. To są przyczyny historyczne; ale że po wszystkich doświadczeniach faszyzmu, wojny i wyzwolenia chadecki rząd nadal pozostawił wszystko po staremu — to jest właśnie diabelskie".

I Giorgio wylicza fakty, które dowodzą, że Południe nadal stanowi kolonię przemysłowych monopoli Północy, ściśle związanych z tutejszym kapitałem obszarniczym.

„Wielcy obszarnicy Południa zagarniają rocznie 100 do 150 miliardów lirów, ale sumy te w olbrzymiej większości płyną do kieszeni monopoli północnych Włoch. Dochód narodowy na głowę ludności jest na Południu o połowę niższy niż na Północy. Płace są na Południu o 40 do 60 procent niższe niż np. w Mediolanie czy Turynie. Na Północy 83 proc. ludności posiada dochód 30000 lirów (uznany za minimum egzystencji), podczas gdy na Południu zaledwie 47 proc. U nas prawie 60 procent ludności to analfabeci. Gdy na Północy jeden traktor przypada na sto hektarów ziemi, to u nas ledwo jeden na tysiąc hektarów.

Ale Północ i Południe to mimo wszystko jeden kraj. I dlatego, że jedna część kraju, Południe, zbyt mało konsumuje — druga połowa nie znajduje rynku zbytu na swoje produkty. Stąd kryzys w północnych Włoszech, stąd bezrobocie i spadek produkcji (oczywiście nie wolno zapominać przy tym o świadomej polityce włoskich monopoli, które na rozkaz swych amerykańskich „opiekunów", same dążą do likwidacji narodowego przemysłu). To z kolei odbija się na zbycie produktów rolnych Południa, wskutek czego zacofanie i upadek tego obszaru stanowią największy problem narodowy. Temu należy przypisać, że Włochy sprowadzają żywność z zagranicy, podczas gdy olbrzymie obszary leżą odłogiem. „Rinascita", — odrodzenie Południa — stanowi najpilniejsze zadanie całego narodu",

O tym, że Mezzogiorno — Południe Włoch, żyje w straszliwych, średniowiecznych warunkach feudalnego ucisku i wyzysku wiedzą we Włoszech wszyscy. Jak jednak wygląda sytuacja naprawdę — niewielu tylko zdaje sobie sprawę. A sytuacja jest po prostu tragiczna.

Dojeżdżamy do Izola Capo Rizzuto, niewielkiej osady na krańcu kalabryjskiego buta. W maleńkiej izdebce mieszka 11 osób rodziny Consorro. W ciągu dnia nie ma kłopotu, ale w nocy nie można się poruszyć między ciasno stłoczonymi ciałami. Lecz nawet ta nora, nazwana szumnie „domem", nie jest własnością jej mieszkańców. Za izdebkę, w której gnieździ się po kilkanaście osób, miejscowi braccianti płacą „panu" 10-15-20 tysięcy lirów rocznie. Niechby tylko nie zapłacili! Przecież i tak dziesiątki ludzi żyją w szałasach skleconych z gliny i kawałków blachy.

Capo Rizzuto obejmuje 11000 hektarów ziemi. W rękach chłopów znajduje się jednak niecały tysiąc hektarów, podzielony na mikroskopijne działki. Nie ma tu nawet miejsca na cmentarz. Zwłoki rzuca się po prostu w morze — przecież ten kawałek ziemi, który przeznaczonoby na wieczny odpoczynek strudzonych chłopów, wyżywić może kilkadziesiąt osób...

Z krwawego potu kalabryjskich chłopów rosną fantastyczne majątki panów baronów. Dochody barona Berlingieri z dóbr w samej tylko Kalabrii wynoszą przeszło 200 milionów lirów, Luigi Barracco ma 110 milionów, a Francesco Galluccio przeszło 100 milionów.

Z Corleone wyruszyliśmy o pół do szóstej rano. Dzień wstawał brzydki, z zakrytego chmurami nieba lały się strugi deszczu. Po rozmiękłej ziemi snuły się gęste mgły. To tutaj, przed trzema laty, chłopi wznieśli żagiew buntu. W pojedynkę, grupami, w szerokich opończach i czarnych szalach rzadko na koniu czy mule, setki bracciantów szły, by objąć w posiadanie nie uprawianą od lat ziemię obszarników. Wówczas, tak samo jak dziś, pełno było błota i mgły.

„Słońce przeświecające przez mgłę wyglądało jak gigantyczne oko — wspomina Giorgio. — Ziemia wokół była tłusta i czerwona. Czerwone były też sztandary, dźwigane przez jeźdźców. Wygłodniali braccianti zeskoczyli z koni i mułów i zanurzywszy ręce w tłustej roli, w hieratycznym geście podnosili skiby ziemi do nieba, pokazując je z kolei jeden drugiemu.

Przodownik wbił drzewce czerwonego sztandaru w życiodajną ziemię. Pługi zaczęły odwalać skibę za skibą nietkniętej od lat ręką ludzką ziemi. **„Nuatri ni maritamu cu la terra" — „Bierzemy ślub z ziemią"** — wołali w miejscowej gwarze chłopi, rzucając ziarno w dymiącą w chłodzie poranku glebę. Gdy ziarno spulchni ziemię, jest ona według odwiecznego prawa kalabryjskiego „zaślubiona" siewcy".

Ale feudałowie nie mieli bynajmniej zamiaru uszanować ludowych praw. Występowała policja, strzelała mafia: 29 zabitych, 1124 ciężko rannych, prawie 34 tysiące aresztowanych, z górą 8000 skazanych na łączną karę przeszło 3000 lat więzienia — oto cena, jaką zapłacili kalabryjscy chłopi za prawo do uprawy odłogiem leżącej ziemi, za prawo do życia. Ale początkowy śmiech feudałów na widok obdartych bracciantów z czerwonym sztandarem szybko zamienił się w strach. Obszarnicy zrozumieli, że obecny ruch chłopski, to koniec latyfundiów, to koniec średniowiecznej gospodarki rolnej, to koniec feudalizmu w Kalabrii.

Krwawo okupili kalabryjscy chłopi tę niewielką ilość ziemi, jaką zmuszony był im przyznać chadecki rząd. Ale walka bracciantów o prawo do życia nie została zakończona. Braccianti z Kalabrii nie czują się w tej walce osamotnieni. Ich sprawa jest sprawą strajkujących robotników we Włoszech, Francji czy Ameryce. Jest wspólną sprawą całego światowego proletariatu. A jeśli dotychczas wygrane bitwy nie przynoszą jeszcze rozstrzygnięcia tej walki, to poczucie solidarności z towarzyszami broni w krajach kapitalistycznych i wspaniały przykład ludów w krajach budujących socjalizm, uskrzydla ich coraz większą siłą i wolą walki, coraz pewniejszym poczuciem zwycięstwa.

Neapol, w grudniu 1953 r.

Wczasy w Dusznikach

Grupa wczasowiczów z warszawskich uczelni poznała się już na dworcu. Rej wodzili starzy bywalcy ZSP-owskich wczasów, rozwiewając obawy nowicjuszów o wyżywienie, rozrywki i pogodę.

Pierwszymi słowami na stacji w Dusznikach było pytanie: „Czy w górach jest śnieg?"

Niestety, dystrybucja nawaliła — stwierdził kierownik obozu kol. Józef Klasa.

Kiedy wszyscy znaleźliśmy się w pięknych pokojach DW „Hutnik", nawet najwięksi malkontenci byli zadowoleni i z uznaniem stwierdzili, że nie można sobie życzyć lepszego pomieszczenia. Również pierwszy posiłek przekonał wszystkich „podejrzliwych", że wyżywienie jest bez zarzutu.

Od pierwszego dnia wytworzyła się w naszym kolektywie „wczasowym" szczera, przyjacielska atmosfera. Działająca sprawnie rada obozu wraz z kierownikiem przyczyniła się do przyjemnego i pożytecznego wykorzystania każdego dnia.

✠

O tym, że wieczornice cieszyły się zrozumiałą popularnością wśród studentów, nie trzeba pisać. Znalazło się między nami dość liczne grono studentów zagranicznych — Chińczyków, Koreańczyków, Węgrów. I właśnie wieczorki taneczne wykorzystaliśmy, by bliżej poznać ich ojczyznę, naród, ich piosenki i zwyczaje. Na pewno każdemu z nas długo pozostanie w pamięci piękny czardasz śpiewany przez Węgrów. Nie zapomnimy też widoku, gdy sala wypełniona studentami Warszawy i Poznania nie milknącymi brawami zmuszała naszych kolegów chińskich do wykonywania po raz któryś tam z rzędu ich pięknych ludowych pieśni.

Skośnooki Czen prosił mnie, aby go nauczyć grać na akordeonie. Zaczęliśmy mówić o muzyce, a skończyliśmy na tym, ile instytutów naukowych jest teraz w Pekinie. Grać Czena wprawdzie nie nauczyłem, ale rezultat naszej rozmowy był taki, że wiem więcej o Chinach i mam przyjaciela, mieszkańca Pekinu.

Lena pochodzi ze wsi węgierskiej, jest teraz studentką trzeciego roku historii na UW. Z pasją i entuzjazmem dyskutowaliśmy z nią o ankiecie ogłoszonej przez jedną z gazet węgierskich na temat miłości i szczęścia osobistego.

Dom Wypoczynkowy „Hutnik" gościł tym razem nie mistrzów przyśpieszonych wytopów, lecz przodujących studentów z uczelni warszawskich i poznańskich.

Rozmowy te pozwoliły nam zbliżyć się, lepiej poznać i polubić.

✠

Na zabawie noworocznej w SGSZ, w pięknie udekorowanych salach bawiła się młodzież i profesorowie. W słabym świetle przygaszonych lamp dostrzegam dwie znajome z Dusznikow twarze. Zatrzymali się na chwilę, by złożyć sobie noworoczne życzenia. Może właśnie w tej chwili wspominają miłe wieczory na wczasach, gdzie się poznali i polubili.

ANDRZEJ BOŁDOK
Politechnika Warszawska

Wyrównać front

(Dokończenie na str. 1)

im w wykonaniu zobowiązania zmiana okólnika, która unieważniła dawne przepustki wstępu na teren fabryki I takiej „przeszkody" nie potrafili towarzysze z Politechniki przezwyciężyć przez prawie półtora miesiąca...

Podane przykłady — to kilka drobnych sygnałów. Ale nie wolno ich lekceważyć. Szczególnie mocno powinny je sobie wziąć do serca instancje ZMP-owskie na wyższych uczelniach. Studenci podjęli zobowiązania i chcą je realizować. Mają dużo zapału i chęci — tego nie wolno zmarnować. Oczywiście, istnieją najrozmaitsze przeszkody, ale przeszkody te są do usunięcia i nie mogą one przesłaniać wielkiego celu i sensu pracy przedzjazdowej, nie mogą one usprawiedliwiać niedbalstwa czy biurokracji.

Trzeba do pracy przy realizacji zobowiązań wciągnąć jak najszerszy ogół studentów i pracowników naukowych. Wtedy łatwiej będzie usunąć przeszkody, uczelnie zaś, w których występuje osłabienie temperatury pracy przedzjazdowej, wyrównają front i będą mogły zameldować w dniu Zjazdu: „Nasze zobowiązania zostały wykonane i przekroczone".

Na cześć Zjazdu Partii

W dalszym ciągu napływają do naszej redakcji meldunki o realizacji i podejmowaniu zobowiązań studentów i pracowników naukowych wyższych uczelni.

Oto najciekawsze z nich:

STUDENCI UMCS — WSI

Pomóc wsi w podniesieniu wydajności z hektara — oto istotny sens zobowiązań studentów z lubelskich uczelni.

Zorganizowana przez wydział rolny brygada kompleksowa ma za zadanie pracę nad zbadaniem warunków umożliwiających podniesienie wydajności gospodarstw indywidualnych w zakresie hodowli, jak też i produkcji roślinnej na przykładzie kilku gospodarstw.

Do realizacji tego zobowiązania przez pracowników nauki włączyli się również studenci III i IV roku studiów na UMCS.

Wśród studentów trwają przygotowania do wygłaszania na wsiach referatów o higienie zwierząt i produktów pochodzenia zwierzęcego.

Koło naukowe wydziału weterynarii, wspólnie z kołami wydziału rolnego i zootechników, opracuje, po zbadaniu potrzeb terenu, spisy kompletu podręczników, broszur i czasopism fachowych nieodzownie potrzebnych dla bibliotek spółdzielń produkcyjnych, PGR i POM.

Ponadto coraz więcej wydziałów nawiązuje łączność kulturalną ze wsią. Między innymi do Spółdzielni Produkcyjnej Krepsówka koledzy z I roku prawa będą wyjeżdżali z bogatym repertuarem artystycznym, który obejmie regionalne pieśni i tańce.

W czasie tych wyjazdów wygłoszą oni szereg pogadanek i odczytów na tematy rolnicze, by w ten sposób wpłynąć na zwiększenie wydajności z hektara.

POMOCE SZKOLNE

Pomoce szkolne dla czterech szkół wiejskich w Godzianowie, Pajęcznie, Zdunach i Puszczy Mariańskiej zostaną wykonane przez studentów łódzkiej PWSP. Wiele eksponatów już wykonano, m. in. skomplikowane aparaty z dziedziny fizyki i chemii, pomoce do biologii i geografii.

W pracowni robót ręcznych stukają młotki, zgrzytają piły — tu studenci wykonują mapę przedstawiającą budowle przemysłowe w Polsce, globusy, aparaty do otrzymywania wodoru i ozonu oraz makiety starych grodów.

Wszystkie te pomoce urozmaicą lekcje w szkołach, nauczą dzieci myśleć i wyciągać wnioski z obserwowanych zjawisk, pozwolą nauczycielom ciekawiej i pożyteczniej przeprowadzać lekcje.

Łączność, którą podjęli studenci PWSP ze szkołami wiejskimi, nie ogranicza się do wręczenia pomocy naukowych. Będzie ona zacieśniać się coraz bardziej. Przyszli pedagodzy będą odwiedzać te szkoły, pomagając w pracy świetlicowej.

O ROZWÓJ SZTUKI I KULTURY

Realizacja zobowiązań przedzjazdowych na łódzkich uczelniach trwa.

Studenci IV roku wydziału operatorskiego WSF przygotowują ogólnoszkolną wystawę fotografiki, obejmującą około 150 prac podsumowujących ich osiągnięcia. Wystawa wraz z festiwalem filmów szkolnych zostanie otwarta w MDK w połowie stycznia.

Trwają również przygotowania do mającego się odbyć konkursu na najlepszy scenariusz filmowy związany tematycznie z tezami II Zjazdu Partii. Najlepsza praca zostanie zrealizowana.

(Na podstawie materiałów nadesłanych przez E. Bieleckiego, M. Borowskiego, W. Michalskiego i T. Aleksandrowicza).

W naszej uczelni

Apel wrocławskiej WSR — od razu pociągnął za sobą falę zobowiązań naukowców i studentów naszej uczelni — WSR w Krakowie. Rozumiemy, że IX Plenum KC PZPR nakazuje nam nie tylko polepszyć całą naszą pracę na uczelni, ale także — jako uczelni rolniczej — ściślej powiązać naukę z praktyką, wydatniej pomóc rolnictwu w zwiększaniu produkcji. I w tym kierunku poszła większość naszych zobowiązań.

Szczególnymi osiągnięciami mogą się tu poszczycić nasi naukowcy. I tak np. jeszcze w grudniu zorganizowali oni (wspólnie z WRN) dwudniową kursokonferencję dla 180 pracowników państwowej służby rolnej i agronomów POM. Na konferencji tej wygłoszono szereg referatów o metodach zwiększania produkcji rolnej oraz w oparciu o analizę dotychczasowej działalności spółdzielni produkcyjnych naszego województwa opracowano dla nich projekty planów gospodarczych na rok 1954/55. Materiały do tej analizy zbierali poprzednio w terenie naukowcy naszej uczelni wspólnie z pracownikami WRN.

Kurs ten wykazał duże zainteresowanie służby rolnej i agronomów POM najnowszymi zdobyczami z zakresu agrotechniki i zootechniki oraz konieczność dalszego szkolenia takich kadr dla pełniejszego przygotowania ich do realizacji Uchwał IX Plenum. Toteż obecnie odbywają się podobne kursokonferencje (obejmujące również agronomów gminnych) w poszczególnych rejonach naszego województwa, przy czym uwzględniają one możliwość wzrostu produkcji rolnej w zależności od specyfiki danego rejonu (górski, nizinny itd.).

Dla pełniejszego i bardziej planowego włączenia się całej uczelni w realizację zadań postawionych przez IX Plenum, zespoły poszczególnych katedr zorganizowały specjalne narady w celu ustalenia odpowiednich planów pracy oraz podjęły dodatkowe zobowiązania. Np. zespół katedry mikrobiologii i chemii założy w spółdzielni produkcyjnej w Libertowie tzw. chatę-laboratorium, gdzie spółdzielcy pod opieką naukowców przeprowadzać będą różne doświadczenia dotyczące głównie użyźniania gleby.

Na pochwałę zasługuje też zorganizowanie dla pracowników naukowych katedr nierolniczych oraz dla pracowników administracyjnych specjalnego szkolenia o podstawowych zagadnieniach rolnictwa. Ponadto w podniesieniu jakości pracy uczelni, a zwłaszcza podniesieniu ideowego poziomu pracowników naukowych i studentów, dużą rolę powinien odegrać Gabinet Marksizmu-Leninizmu, który — w wyniku realizacji zobowiązań po IX Plenum — powstanie na naszej uczelni w I kwartale br.

Do czynu przedzjazdowego włączyli się także studenci. Obecnie, realizując swoje zobowiązania, zakładają oni na terenie woj. krakowskiego kilkadziesiąt Kółek Miczurinowskich, Koła Młodych Hodowców oraz Koła Szkolenia Rolniczego. Do założonych Kół wyjeżdżają ekipy studentów i asystentów poszczególnych specjalizacji i wygłaszają tam pogadanki naukowe oraz pomagają w ustalaniu tematyki przyszłych doświadczeń.

Po IX Plenum organizacja zetempowska na naszej uczelni przeprowadziła szeroką pracę propagandową i agitacyjną zwracając szczególną uwagę na nasze najważniejsze zadanie: jak najlepsze przygotowanie się do przyszłego zawodu — dziś przygotowanie do nadchodzącej sesji egzaminacyjnej.

W mobilizowaniu studentów do twórczego opanowywania wiedzy poważne znaczenie miała zorganizowana u nas narada studentów pochodzenia chłopskiego pod hasłem: „Gospodarstwo mego ojca — przodującym gospodarstwem". Na naradzie tej studenci postanowili pomóc swym rodzinom w wykorzystaniu rezerw i zwiększeniu produkcji rolniczej — niektórzy z nich już podczas ostatnich ferii rozmawiali na ten temat z rodzicami. Np kol. Mosór, omawiając z ojcem możliwości powiększenia hodowli, nakłonił go do przebudowy chlewni, zwiększenia kontraktacji itp.

Wiele dało nam również zorganizowane przez ZMP spotkanie z działaczką partii tow. Iskrową, która swym żywym opowiadaniem niejednemu potrafiła przemówić „do serca" i zapalić do walki, do której prowadzi nas partia.

Tak więc można stwierdzić, że po IX Plenum KC PZPR ożywiła się praca na naszej uczelni, a zwłaszcza wzbogaciły się formy więzi naszej nauki z praktyką. Szkoda tylko, że dotychczas nie zorganizowano u nas jeszcze ekip kompleksowych, o których mówi wezwanie wrocławskiej WSR i które pracują już na innych uczelniach rolniczych.

KAROL KISZA
WSR — Kraków

Julian Tuwim

Krzyczę:

Boże święty! Nie rób ze mnie posągu!
Jak chorągwią wiej mną, wietrze boży!
Wschód i zachód niechaj się otworzy,
Niechaj stanę w wszechświatowym przeciągu!
Ja nie pragnę być aere perennius,
Gardzę mocą niewzruszoną spiżu
Ani nie chcę, by mnie w wieczność przeniósł
Mit w postaci rozpiętej na krzyżu.
Ale chcę, by mnie życie podarło,
Potargało piorunem wichury,
Niechaj wpija we mnie kły, pazury
I drapieżnie mnie chwyta za gardło.
Niech odejdę, poszarpany, krzyczący,
Że o miliard lat za wcześnie ginę,
I niech tłucze mnie w ostatnią godzinę
Wiatr mój wierny, z żalu skowyczący!

Noc ubogiego człowieka

Krzywdo, nędzo plądrująca,
Dniu trudny, nocy koszmarna!
Z bliźnim, z człowiekiem strapionym,
Użera się noc bezkarna.

Człowiek zerwał się na posłaniu,
Kamień snu z piersi odwalił.
Słucha. Noc syczy w mieszkaniu,
Zegar szepce: dalej, dalej, dalej.

Kaszle sąsiad za ścianą. Człowiek słucha.
Suchym trzaskiem skrzypnęła podłoga.
Dziecko śpi, spokojnie oddycha.
Szemrze ciszą izba uboga.

Mysi szurgot zapałek. Ćwierknął płomyk.
Zgasło. W mątwie tumanią się sprzęty.
Został w oczach odblask niewidomy
I rozpłynął się w bezład mętny.

I pomyślał człowiek o nocy,
O dziecku, o sobie, o ciszy,
O sąsiedzie za ścianą kaszlącym,
O skrobiącej uparcie myszy.

I pomyślał: dalej, dalej, dalej...
A noc syczy, a zegar szepce.
Westchnął człowiek, snem się przywalił
I śpi, biedny, w ubogiej izdebce.

1929 r.

Spotkanie w roku 1952

„Pamiętam twego dziada, kościstego stracha,
Z ojca — mówili — cepa, a matki drabiny.
Bezzębny, zawsze głodny, wiecznie w szmatach, łachach,
Zesypywał w papierki chleba okruszyny.

Tak zgłupiał z niedojadu, do reszty zeszmaciał...
A gdy dosiadał oklep chudego konika
I bosymi stopami aż ziemi dotykał,
Wyglądał jak Don Kichot w prasłowiańskich gaciach.

Pamiętam twego ojca, jak na swej pół-mordze
Siał, zbierał — dla sześciorga (nie wróbli, lecz ludzi).
Wybacz: ciemny był chłopek. Wzdychał, plótł, marudził,
I jak dziadek zdziwaczał w rodzimej katordze.

A gdy sobie uroił Legionierski Upiór
Śladem Chrobrego ruszyć na „szlaki dziejowe",
Westchnął tatulo, poplótł, u Berka się upił
I poszedł „bronić Polski"... Wiesz gdzie? Pod Kijowem.

Wrócił ślepy. A lat miał niespełna trzydzieści...
Jeszcze was troje spłodził z twą sczerniałą matką:
Janka, krzywą Tereskę — i ciebie, ostatnią,
I na ślepo was kochał, i na ślepo pieścił.

A ty co? Ciągle jeszcze na tym skrawku ziemi?"
Podniosła piękną głowę na wysokość dziejów
I odrzekła, promienna, natchniona nadzieją:
„Ja — w Warszawie. Ja — pracę piszę. Z agrochemii",

Sztandar

Prawda, prawda, czarnoleski Janie:
„Serce roście patrząc na te czasy!"
Tętnem krwi czerwono-chorągwianej
Zaszumiały nasze miasta jak lasy.
Jakaż miała się odezwać Muza
Prócz tej jednej — bojowej, piosennej?
Jakiż kwiat mógł wybuchnąć na gruzach,
Jeśli nie ten pnącz czerwonopienny?
I dlatego ze stolicą rosnę
I po piętrach jej wspinam się kwieciem.
A ojczyzny mojej wielką wiosną
Jako sztandar wznoszę nad stuleciem.
Taki sztandar, że ziemię okryje,
Taki sztandar, że w wieki ponosi
i gdziekolwiek jego drzewce wbiję,
Tam początek będzie ziemskiej osi.

PIĄTKA z ULICY BARSKIEJ na głos

Dobiegają końca prace nad nowym polskim filmem fabularnym — „Piątka z ulicy Barskiej", realizowanym przez reżysera Aleksandra Forda według powieści Kazimierza Koźniewskiego, wyróżnionej w 1952 roku Nagrodą Państwową.

Nie wszyscy czytelnicy popularnej powieści Koźniewskiego wiedzą, że treść filmu odbiegać będzie znacznie od fabuły powieści. Różnice między scenariuszem filmowym a powieścią obejmują nie tylko czas i miejsce akcji, ale również samych bohaterów utworu. Niektóre postacie mające w powieści epizodyczny charakter są głównymi bohaterami filmu (np. Hanka w wykonaniu Aleksandry Śląskiej). W filmie znajdziemy również wiele nowych ciekawych scen, których nie ma w powieści.

Autor „Piątki z ulicy Barskiej" i współtwórca scenariusza — Kazimierz Koźniewski mówi:

„Większość zmian, które wprowadziliśmy do scenariusza, spowodowana została odmiennymi, specyficznymi warunkami dzieła filmowego. Tak na przykład nie mogliśmy w jednym filmie ukazać wszystkich miejsc pracy głównych bohaterów powieści. Wybraliśmy jedno: budującą się Trasę W-Z. Nie mogliśmy również pokazać na ekranie jednakowo wnikliwie całej piątki chłopców i dlatego wysunęliśmy na czoło role Kazka i Marka. Niefilmowy — jeżeli można użyć takiego określenia — charakter powieści spowodował, że dzieje młodych bohaterów ilustrujemy na ekranie scenami i wydarzeniami, których nie ma w książce. Słowem, scenariusz „Piątki" jest w pewnym sensie zupełnie nowym utworem. Z książką łączy go tylko ta sama problematyka. Film — podobnie jak powieść — będzie mówić o odbudowie Warszawy w pierwszych trudnych latach powojennych i o moralnej „odbudowie" młodych chłopców, skażonych ciężkim okresem okupacji".

Zanim z kolei oddamy głos odtwórcom piątki młodych warszawiaków, warto jeszcze dodać, że poza nimi filmowa „Piątka z ulicy Barskiej" obfitować będzie w szereg ciekawych kreacji aktorskich.

M. K.

Debiut filmowy, na którym ... „zjadłem zęby"

Spośród masy krakowskich uczniaków, produkujących się na szkolnych scenkach, wyłowiła mnie reżyser Państwowego Teatru Młodego Widza w Krakowie M. Biliżanka do roli Gawrika w „Samotnym białym żaglu". Sięga ona często do tego rezerwuaru po najmłodsze kadry aktorskie do ról dziecięcych i młodzieżowych. Mój pierwszy debiut na prawdziwej scenie udał się „jak ślepej kurze ziarno". Powiodło mi się ponoć nieźle i po raz wtóry w roli złodzieja Kuźmy z „Poematu pedagogicznego".

W tym właśnie czasie „grasowały" po całej Polsce ekipy filmowe w poszukiwaniu obsady aktorskiej do filmu o chłopcach z ulicy Barskiej. Znalazłem się wśród nich przyłapany na gorącym uczynku, „fuszerki aktorskiej" i zostałem Jackiem Siwickim. Nie było to jednak takie proste. „Krakowiaczek jeden" miał stać się warszawskim cwaniakiem. Byłoby pół biedy, bo „kinder" krakowski, jak wiadomo, nie gorszy. Rola kazała jednakże cwaniakowi stracić wpierw nogę w wypadku tramwajowym. Śmiej się więc bratku i... ucz się chodzić o kuli, nie zapominając, że masz być ruchliwy.

Rozpocząłem więc na ulicach Łodzi naukę chodzenia, udając kalekę. Trzeba przyznać, że na ogół łodziane mają litościwe serca. Z czasem przestałem się rumienić z powodu uwag pod moim adresem, a nawet gdy pewna starsza pani ustąpiła mi swe miejsce w tramwaju, z całą skwapliwością i powagą wykorzystałem jej samarytański uczynek. W tym miejscu przepraszam ją za to drobne oszustwo — dla sztuki. Naukę chodzenia o kuli uważałem za skończoną z chwilą, gdy na sam jej widok stawałem się „kuternogą".

Zaczęły się wreszcie prawdziwe dni zdjęciowe. Ambicją wszystkich było stworzenie postaci jak najbardziej realnych. Mnie osobiście udało się stworzyć postać Jacka, dzięki nieocenionej opiece reżyserskiej i radom moich starszych „rutynowanych" kolegów.

Jacek stał się kąśliwy przez swe powiedzonka, a że był fizycznie drobny i nie mógł się wskutek kalectwa bronić, nadawał się „jak raz" do wyładowywania na nim — zgodnie ze scenopisem — złości w sposób namacalny i jak najbardziej realny. I gdy zdarzyło się, że odmówił Zenonowi przysięgi, otrzymał od niego „udany" cios w szczękę tak, że wybito mu ząb mocno zresztą nadpsuty...

Debiut w filmie zachęcił mnie do poznania arkanów sztuki aktorskiej od podstaw. Z tego powodu zapragnąłem zostać uczniem Wyższej Szkoły Aktorskiej. Okazało się jednak, że według opinii „miarodajnych czynników", brak mi jeszcze 1 cm i 2 mm wzrostu i na razie nic z tego nie wyszło.

Chwilowo „przygarnął" mnie więc z powrotem Teatr Młodego Widza. Może uda mi się z czasem podrosnąć o te nieszczęsne milimetry. A wybity ząb? Nie pomógł i w dodatku nie odrośnie.

A. KOZAK
(Aktor Teatru Młodego Widza w Krakowie)

Na rozdrożu

Wiedziałem, że Kazek jest jedną z głównych ról w filmie „Piątka z ulicy Barskiej", do którego zaproszono mnie na próbne zdjęcia, toteż z pełną odpowiedzialnością i niemałym zdenerwowaniem stanąłem na próbę przed kamerą. Nie wiedziałem przecież jeszcze wtedy, że mnie wypadnie grać tę rolę, toteż kiedy reżyser A. Ford mnie ją powierzył, byłem zachwycony możliwością tej pracy.

Jest to trzeci film, w którym biorę udział. W dwóch poprzednich grałem epizody, czyli mniejsze role, tym razem powierzono mi poważną partię, którą należało nie tylko przemyśleć, ale i konsekwentnie zrealizować. Kazik jest chłopcem niezwykle interesującym, jest bogatą naturą, którą cechuje upór, jakaś wrodzona szlachetność, a zarazem nieufność do ludzi i tęsknota za lepszym, prawdziwym życiem. Cechy te są w pełni usprawiedliwione okresem, na który skazane są jego lata chłopięce i jego młodość. Życie jego zaczęło się podczas okupacji. Pozostawiony sam sobie, nie myślący kategoriami żadnej świadomości politycznej, chłopak ten prawdopodobnie uznał wówczas, że tak jak jest, jest dobrze, byle były pieniądze i trochę sprytu.

Jakże zaskoczyło go życie, które zaczęło się po wyzwoleniu. On, jak i wielu jemu podobnych, po swojemu, dziecinnie, szukał swego miejsca w nowej, nieprzewidzianej nigdy rzeczywistości i to, to jest najciekawsze w tej roli — wewnętrzna walka chłopca, którego porywa nowe życie, nowi ludzie. Zupełnie niespodziewanie spotkana dziewczyna pogłębia jego dramat. Ona młoda, rozkochana w swojej pracy i w nauce — i on związany z podziemiem, a miłujący życie tak samo jak ona.

Pokazać to wszystko było naczelnym zadaniem roli, jaką wyznaczył mi autor scenariusza i reżyser.

O wszystkich moich spostrzeżeniach na temat postaci Kazka, które poczyniłem w okresie prób, starałem się pamiętać przy realizacji.

Obecnie pamiętając nadal o zadaniach, jakie sobie stawiałem wówczas, z niecierpliwością oczekuję wraz z całą młodzieżą ich rezultatów.

TADEUSZ JANCZAR
(Aktor Państwowego Teatru Nowej Warszawy)

Praca nad „czarnym charakterem"

Rola Lutka specjalnie mnie interesowała. Była to rola zupełnie inna niż dotychczasowe. Stanąłem przed trudnym zadaniem aktorskim, jakiego jeszcze nie rozwiązywałem. I rzeczywiście, nawet w teatrze nie grałem tzw. „czarnych charakterów". Lutek jednak jest czymś więcej niż typowym „niepozytywem" w filmowym dramacie Aleksandra Forda. Jest to chłopak, który świadomie obiera drogę przekupstwa i zdrady, który nie chce życia nowego, ponieważ związany jest z tą klasą, którą to nowe życie właśnie zwycięża. Tym bardziej oburzający jest ten wypadek i tragiczny zarazem, gdyż Lutek jest młodym chłopcem, przed którym wszystko stoi otworem. Lecz on wybiera świadomie dywersję i nierealne marzenia o „przemianie".

W roli, którą dostałem, krył się jakiś dobrze przeczuty człowiek. Chciałem się go dopatrzyć. Zaczęła się praca. Zastanawiałem się jak on mówi, jak się zachowuje, jakie ma odruchy. W końcu zdecydowałem się na propozycję pana Aleksandra, by starać się uzyskać niepozorność, lub raczej zwyczajność i pospolitość tego chłopca, a tylko w momentach decydujących zdradzić prawdziwe oblicze młodego bandyty jakimś odruchem. W każdym razie czymś, czego już chłopak nie może opanować. Jedyny element, który podkreśla gusty Lutka, to piękna skórzana kurtka. Słabostka już nie smarkacza-dywersanta, lecz słabostka zapatrzonego w siebie egoisty, który wśród obdartych kolegów łatwo odnosi zwycięstwa w imponowaniu „szczegółami". Łatwe są one jeszcze dlatego, ponieważ Lutek ma pieniądze, a chłopcy nie, że organizuje sobie życie według własnych zachcianek.

Praca nad tą rolą była trudna. Miałem to szczęście, że reżyser poświęcił mi wiele uwagi i pod jego czujnym okiem prowadziłem rolę. Nie widziałem jeszcze materiału zmontowanego, więc nie wiem o ile udało mi się przeprowadzić to, co zamierzyłem.

Przyznam się, że nigdy nie byłem jeszcze tak niespokojny i niecierpliwy. Czekam na tę premierę. Stanowić ona będzie dla mnie próbę, która wykaże — jakie nowe przeszedłem wtajemniczenie aktorskie.

Bez wyciągania wniosków nie można iść naprzód.

TADEUSZ ŁOMNICKI
(Aktor Teatru Narodowego w Warszawie)

Spełnione marzenie

Kiedy stanęła sprawa mojego udziału w filmie, byłem jeszcze słuchaczem 4 roku Wyższej Szkoły Aktorskiej. Rola Marka w „Piątce z ulicy Barskiej" jest więc moją pierwszą pracą w filmie. I muszę powiedzieć, że oprócz wielkiego zadowolenia ze spełnionych marzeń o tego rodzaju pracy, dużo się nauczyłem. Początkowo było trudno. Tym bardziej, że zaraz na wstępie dowiedziałem się, i co gorsza od kierownictwa szkoły, że praca w filmie poza tzw. „gwiazdorskim syfonem" nie stwarza żadnych możliwości aktorskich — aktor filmowy jest jakby żywym rekwizytem w tej „zmechanizowanej sztuce". Nie znałem tej dziedziny sztuki tak dalece, aby się sprzeciwić, tym bardziej, że wiadomości od starszych kolegów raczej potwierdzały tę opinię.

Dodawał mi otuchy fakt, że film ten jest reżyserowany przez A. Forda, twórcę takich filmów jak: „Ulica Graniczna" i „Młodość Chopina", z których nieodparcie wynika wniosek, że bez metodycznej współpracy reżysera i aktora dzieła te nie miałyby tak skończonego wyrazu. Głównym elementem sztuki filmowej Forda jest człowiek — a więc aktor, na którym dopiero skupia się cała tzw. techniczna strona filmu.

Dla mnie praca pod kierunkiem reż. A. Forda stała się wbrew „opinii" uzupełnieniem studiów aktorskich.

Praca nad filmem rozpoczęła się jeszcze przed jego „kręceniem" całomiesięczną analizą scenariusza, ustaleniem głównej idei, zadań poszczególnych postaci i ich charakterystyką, ustaleniem wzajemnych stosunków między postaciami i ich środowiskami, poglądami i rozwojem.

Ten okres wstępnych studiów nad rolą sprawił, że pojawienie się kamery nie sprawiło większego wrażenia... nawet wtedy, gdy układałem cegły na warszawskiej budowie. Bo i tego musiałem się nauczyć. A reżyser był wymagający i nie przystąpił do nakręcania scen na budowie dopóki bohaterowie pierwszej „Trójki murarskiej" nie opanowali precyzyjnego władania kielnią, nabierania zaprawy, zaciągania sznurka, stosowania winkla i pionu — słowem tajników sztuki murarskiej.

Cieszę się z tego tym bardziej, że (sceny budowy kręcone były w Warszawie) w ten sposób i ja mogłem dorzucić PRAWDZIWĄ cegłę do dzieła budowy stolicy.

MIECZYSŁAW STOOR
(Aktor Teatru Ziemi Rzeszowskiej)

Blisko życia

Kiedy dowiedziałem się, że reżyser A. Ford powierzył mi rolę Zbycha w filmie w/g książki A. Koźniewskiego pt. „Piątka z ulicy Barskiej", miałem już poza sobą lekturę tej ciekawej powieści. Wróciłem jednak do niej ponownie, mimo że wiedziałem już z wstępnych rozmów z reżyserem, że scenariusz zachowując główną ideę powieści, jednak w budowie dramaturgicznej, w rysunku postaci i miejscu akcji często odbiega od pierwowzoru.

Musiałem wprowadzić się mocno i bezpośrednio w klimat wydarzeń, odszukać miejsca, w których rozwijał się dramat pięciu chłopców warszawskiej ulicy. Zacząłem równocześnie bezpośrednio obserwować warszawską młodzież, jej środowisko i styl życia; miałem przecież na pewien czas zostać jednym z nich.

Obserwacje dały mi bardzo wiele i w dużym stopniu zaważyły na koncepcji postaci filmowej Zbycha. Aktualne sprawy młodzieży (nie tylko warszawskiej), która zaczęła kształtować swój światopogląd w czasie okupacji, a jego dojrzewanie przypadło na trudny okres odbudowy i budowy nowego życia, stały się dla mnie bliskie i realne.

Niemało kłopotu w okresie przygotowawczym i w czasie realizacji przyczyniła mi oryginalna plereza, którą zapuściłem, zbyt głęboko biorąc sobie do serca prośbę reżysera o zapuszczenie większej czupryny. Wyhodowałem w rezultacie taką plerezę, jakiej by się żaden „bażant" nie powstydził. Wstydzić się musiałem natomiast ja za wszystkich bażantów i im podobnych, wysłuchując epitetów w rodzaju: chuligan!, bażant!... kierowanych często pod moim adresem w tramwaju i na ulicy.

Nie mogłem niestety prostować, że pozory mylą, że mam duszę uczciwego młodzieńca i nikogo nie mam zamiaru pobić, a oryginalna czupryna, to tylko ofiara, jaką ponoszę dla dobra filmu.

Odczułem wtedy bezpośrednio (często zbyt bezpośrednio) siłę opinii społecznej skierowaną przeciw pewnej grupie młodzieży, która swą drogę życiową skierowała w fałszywym kierunku.

I dlatego chciałbym, aby praca całego naszego kolektywu, jaką włożyliśmy w realizację filmu, pomogła młodzieży w znalezieniu właściwego miejsca w społeczeństwie, tak, jak znalazła je część chłopców z ulicy Barskiej.

MARIAN RUŁKA
(Aktor Teatru Ateneum w Warszawie)

Scena z „Piątki z ulicy Barskiej". Stoją od lewej: Zenon, Franek, Jacek, Marek, Kazek, Lutek i Zbych.

W naszym ZESPOLE

W br. akad. na naszych uczelniach powstało wiele nowych zespołów dramatycznych. Wśród nich znajduje się zespół UMK w Toruniu, który wystawił już sztukę Maliszewskiego „Wczoraj i przedwczoraj". Zdjęcie przedstawia scenę z II aktu. W roli Matki występuje kol. Teresa Dominiak, Ojcem jest kol. Lech Wabia.

Musi być jeszcze lepiej

Na naszej uczelni praca w dziedzinie kulturalnej niemal nie istniała. Najlepszym dowodem jest fakt, iż żaden z naszych zespołów artystycznych (było ich zresztą niewiele) nie został dopuszczony do centralnych eliminacji zespołów studenckich. Bezpośrednim powodem takiego stanu rzeczy było zniechęcenie koleżanek i kolegów do pracy na polu kulturalno-masowym. Głębszych przyczyn tej sytuacji trzeba szukać przede wszystkim w pracy wydziału PKM, który nie potrafił podejść do tego zagadnienia szturmowo i niejednokrotnie stał na stanowisku: „...w naszych warunkach jest rzeczą niemożliwą ożywić życie kulturalne..."

Istniejące w ub. roku akademickim zespoły artystyczne miały nieciekawy repertuar, absolutnie nie sięgający do tematów studenckich i do folkloru regionalnego. Np. zespół taneczny zachwycał nas przez cały czas „kozakiem", który był dobrze wykonany, ale ostatecznie jeden taniec to za mało. Aby zmienić taki stan rzeczy, ktoś wpadł na bardzo dowcipny pomysł. Utworzono kameralny zespół akordeonowy składający się z około 12 osób, w którym znalazło się... zaledwie 3 studentów.

Jednym z poważniejszych błędów był brak rytmiczności w pracy i montowanie programu na pięć minut przed imprezą. Niejednokrotnie ekipa wyjeżdżająca w teren w ostatniej chwili przekonywała kogoś usilnie, że powinien zadeklamować wiersz, którego uczył się w szkole.

W nowym roku akademickim KU ZSP postanowił radykalnie zmienić sytuację. Otoczył on troskliwą opieką powstające zespoły artystyczne. Mamy ich w tym roku o wiele więcej.

Nasze zespoły — taneczny i chóralny, wybierając repertuar sięgnęły do folkloru ludowego. Zespół taneczny pracuje nad suitą krakowską, a zespół chóralny nad wiązanką pieśni kaszubskich.

Chciałbym chwileczkę zatrzymać się nad problemami tego zespołu.

Pierwszy — to sprawa dyscypliny i związana z tym sprawa obecności na próbach. Często zdarza się, że na ogólną ilość 24 osób zespołu tanecznego na próbie obecnych jest 15. Podobnie dzieje się w zespole chóralnym. Zadaniem zespołu artystycznego jest nie tylko praca w danej dziedzinie, lecz również praca polityczna, wychowanie nowego człowieka. Dlatego też sprawa obecności na próbach i właściwego zachowania się na nich, to zagadnienie bardzo poważne. Wymagając dyscypliny od członków zespołów, wyrabiamy społeczne podejście do zagadnień, które tylko pozornie wydają się błahe.

Często zdarza się, że po występie stroje rzucane są byle gdzie do kąta, tak że nie można ich potem znaleźć. Podobnie ma się sprawa z instrumentami muzycznymi, które z dnia na dzień niszczeją. Opinia streszczająca się w słowach: „To nie moje", dowodzi albo bezmyślności, albo mniej lub bardziej świadomego szkodnictwa.

W celu poprawienia tej sytuacji wprowadzono specjalną rubrykę w „Błyskawicy", a w zespołach wymaga się usprawiedliwienia absencji przed całym kolektywem.

Nasze osiągnięcia nie przysłaniają nam błędów. Zdajemy sobie z nich doskonale sprawę. Naszym pragnieniem jest podnosić ciągle i nieustannie nasz poziom kulturalny. Stoimy na stanowisku — jest już lepiej aniżeli w roku ubiegłym, ale musi być jeszcze lepiej.

JERZY MARKS
UMK — Toruń

Mimo trudności

Jest u nas wiele zespołów artystyczno-agitacyjnych. Np. na moim roku tzn. na II jest ich cztery. Wśród nich wyróżnia się zespół nr 4. Jeszcze w roku ubiegłym był bardzo słaby, a jego praca układała się od przypadku do przypadku. Ten stan rzeczy wynikał z tego, że brakowało zainteresowania pracą zespołu ze strony organizacji młodzieżowych na uczelni, a nieodpowiedni dobór repertuaru i powtarzanie starych banalnych piosenek i wierszy zniechęcały wszystkich do pracy.

Zespół nr 4 wyrósł w roku ubiegłym w tak doniosłej chwili, jaką była kampania wyborcza do sejmu. Wyjeżdżając na wieś wielkopolską do gromad, członkowie zespołu zrozumieli, jak wiele mogą zrobić dobrego.

Tak jak i w ubiegłym roku, zespół skupia studentów z czterech grup studenckich. A jednak praca wygląda zupełnie inaczej. Kierownikiem zespołu jest aktywistka z gr. 22, kol. Michalina Skarżyńska, a „specem" od baletu kol. Irena Łojewska. Obecnie zespół śpiewa i recytuje, tańczy ludowe tańce i nawet zorganizował „szóstkę rewelersów".

Nowy, ciekawy repertuar nie tylko daje zadowolenie widzom, ale każdemu z członków zespołu. Często kierowniczka zespołu naradzała się z kolegami, co jest dobre w zespole, a co należy usunąć. Jak i od kogo wydostać stroje, kto będzie jutro w terenie grał na akordeonie — o wszystkim decyduje kolektyw.

Najpoważniejszą bolączką zespołu jest brak „własnego" akordeonisty. Trzeba go „wypożyczać" przed każdym wyjazdem w teren.

W ostatnim czasie zespół nr 4 wyjeżdżał już trzy razy do gminy Pępowo. Nasi koledzy byli przyjmowani serdecznie nie tylko na estradzie, ale w każdym domu, do którego zachodzili na rozmowy. Zespół wiele daje widzom — dostarcza dobrej rozrywki kulturalnej i wychowuje, sami zaś członkowie kolektywu wynoszą z pracy wiele zadowolenia.

Ważny w działalności zespołu jest fakt, iż dba on o to, by jego członkowie należycie spełniali swój podstawowy obowiązek, jakim jest nauka. Wolny zaś od zajęć czas członkowie zespołu wykorzystują na próby i własne rozrywki.

Zespół artystyczno-agitacyjny nr 4 na WSE stał się zwartym kolektywem i wzorem dla innych zespołów naszej uczelni.

JAN ROJEWSKI
WSE — Poznań

Sinicki

Jerzy Putrament

Kładł się między trzecią i piątą, spał do dziewiątej. O dziesiątej już był przy pracy. Chyba, że trzeba było wyjechać — wtedy i ósma nie była za wczesna. Wychudł, oczy mu wyrosły, nabrały suchotniczego blasku. Palił po cztery paczki ohydnych, krajowych papierosów. Proponowano mu urlop — tylko prychał. Przy naleganiu — obrażał się: za kogo go mają? Sądzą, że w tak ciężkiej chwili, kto inny potrafi sprawę doprowadzić do końca? Może w ogóle ma odejść? Proszę bardzo, jeśli taki będzie rozkaz. Nie umiano sobie z nim poradzić.

Znalazł się przecież taki, który go zmusił do częściowej przynajmniej kapitulacji. U Bukowskiego, znajomego z pierwszej armii, spotkał kilku przyjaciół z owego, jakże idyllicznego okresu. Była to niby proszona kolacja — butelka wódki, ogórki, kiełbasa, jakieś rozmamłane skumbrie. — Cóż za święto — krzyknął ujrzawszy stół nakryty i żwawo zajadających gości. — Co to? Imieniny?

— Ten się zupełnie rozśrubował — nie mniej donośnie odpowiedział gospodarz. — Nie pamiętasz? Trzynasty października? Druga rocznica, jakeś ty Połzuchy zdobywał. Pij, bracie dopędzaj.

Inny, Gruszczyński, literacina, parający się w skarbowości, wykorzystał chwilę ciszy, aby wygłosić ostrą krytykę panujących stosunków: — ma rację podziemie, jesteśmy ciemne chamy. Nie umiemy odpoczywać.

— Pracować umiemy? — rzucił wąsaty Kraczko, obecnie w milicji.

— Odpoczynek to też praca? — ciągnął Gruszczyński. — Prowadzimy gospodarkę rabunkową w stosunku do kadr. Jest taki, co potrafi aż do końca, aż się zupełnie zedrze. Wtedy mu pogrzebik z honorami, uliczkę w Kutnie jego mianem, artykuliki. A przecież, gdyby pies mu mordę trącał, gdyby mu kazać, aby w porę odpoczął ze dwa tygodnie, to by jeszcze mógł orać, ja wiem? — dziesięć lat, piętnaście...

— Nie pyskuj, bracie — przerwał Bukowski. — Sam wiesz, ilu potrafi dziś ciągnąć.

— Zawracanie głowy! Cóż to za kierownik, którego nie ma kto zastąpić? To żaden organizator. Może po prostu boi się, że mu rywal wyrośnie? A zresztą, jak go szlag trafi, to i tak ktoś na jego miejsce się znajdzie. To po prostu niechlujstwo umysłowe, ten system pracy. Odpoczynek musi być zaplanowany. Nie tylko urlop. Oprócz remontu generalnego musi być bieżący...

— My też odpoczywamy, choćby dzisiaj...

— Taki to i odpoczynek. Mamy dwa stopnie odpoczynku. Na codzień — wraca taki bohater do domu i żonie opowiada jakie ma kłopoty w urzędzie. Podyskutują trochę na ten temat i spać. Odpoczynek II stopnia: zbiera się takich bohaterów kupa, jak dzisiaj. I każdy — o swoich kłopotach w urzędzie. Naopowiadają, napsioczą, wypiją trochę wódki — i spać...

— Rozumiem. A ty byś proponował rozrywki kulturalne, jakąś rezymową „Adrię" z girlaskami, demokratycznie przeszkolonymi, jakieś pociągi „daming-narty-bridż", coś takiego?

Gruszczyński trochę się zaplątał, nie potrafił dać pozytywnego programu wypoczynku „bieżącego". Wybawił go Kraczko:

— Wołejkowa dziś ma wielkie przyjęcie, ona przecież też jest spod Lenino. Idziemy do niej. Oto i kulturalny odpoczynek.

Sinicki przyszedł do Bukowskiego z twardym postanowieniem — godzina najwyżej. Ale perora Gruszczyńskiego zahaczyła w nim dwa obolałe miejsca: rywal? Boi się wychować rywala, dać mu pole do popisu? Po drugie — przeklęte zdrowie. Pod koniec dnia pracy czuł szum w uszach, ból głowy, nerwowe tiki przebiegały mu przez policzki. Zasypiając nagle się zrywał, zdawało mu się, że się dusi, krzyczał, zanim oprzytomniał, fala głuchego strachu wypełniała mu piersi i głowę. Serce. Żona zarządziła: idź do lekarza. Bał się — a nuż z tym sercem coś jest naprawdę?

Wniosek był z tego nagły, zdecydowany: musi odpocząć, oderwać się umysłowo i nerwowo od pracy, choć przez parę godzin pożyć w zupełnie innej atmosferze.

Kiedy całe towarzystwo z hałasem i rumorem ruszyło do Wołejkowej, przyłączył się także, budząc tym szczery podziw i Bukowskiego i Kraczki: Sinicki się bawi? Pewnie musiał kogoś ważnego przyłapać. Uśmiechnął się niby zagadkowo.

Przyciszona rozmowa profesorów urywkami wpadała mu w uszy. Słyszał: jedna wystarczy... Na Warszawę? Trzy co najmniej — odpierał drugi. Na Kraków, co innego. Na Łódź — dwie. Na Poznań — półtorej. — Odruchowo zwolnił, zaintrygowały go te kalkulacje. Starszy brodaty, z zapałem wykładał: — Teraz mają już o wiele silniejsze niż ta hiroszimska.

Chciało mu się śmiać i pluć naraz. Z obrzydzeniem odskoczył, odwracając głowę. Był wściekły na siebie: zawodowe zboczenie, chodzi i podsłuchuje. Na szczęście, nazwisk nie zna, twarzy nie zapamiętał. Dla sprawdzenia przymknął oczy. Tylko broda, broda, barba, Barbara...

— Przepraszam pana — zbudził go zaraz bardzo uprzejmy głos. — Pan pułkownik Sinicki? Dawno chciałem pana poznać. Pan pozwoli, dyrektor Sznajder, z MSO. Tyle o panu słyszałem...

Sinickiemu przez chwilę wydało się, że jeszcze śni. Był to ten w okularach. Patrzył nań, zażenowany, niepewny. Muszka w malinowe grochy trochę mu się przekręciła na bok. Zatoki łysiny połyskiwały kropeleczkami potu.

— Ja też o panu słyszałem — wyrwało się Sinickiemu i to Sznajdra wyraźnie przygnębiło. Zbladł, kropeleczki wyrosły w kropelki. Sinicki ze złością urwał, spróbował swoją gaffę naprawić. — Bukowski to przecież mój stary znajomy. Zna go pan, oczywiście?

— No, jakże! — Sznajder wylewnie rozłożył ręce. — Kolega z Ministerstwa. Uroczy człowiek. I piekielnie zdolny.

— Bardzo chwalił pańskie kompetencje — ciągnął Sinicki. — Brak nam fachowców. Tego się nie dochowamy szybko...

— No, młodzież jest bardzo zdolna. Uważam, że rząd robi nader słusznie, wysuwając świeże kadry na czołowe stanowiska. Taki Bukowski na przykład. Za parę lat, to będzie specjalista najwyższej klasy. I politycznie, taki dojrzały... W ogóle młodzież...

Sinicki z wysiłkiem ścisnął wargi, zdawało mu się, że dłużej nie wytrzyma, strzeli Karasiewiczem. Spojrzenia nie potrafił opanować. To wystarczyło. Sznajder też urwał, przełknął ślinę, zaczął dłubać zapałką w munsztuku. Nie podnosząc oczu zaczął:

— Chociaż, oczywiście, młodzież bywa rozmaita. Jestem przerażony rozmiarami deprawacji powojennej wśród obecnych dwudziestoparolatków. Rozpusta seksualna. I polityczna. Brak odpowiedzialności. Odchylenia moralne, graniczące z zupełnym nihilizmem. Sam miałem przykład — na chwilę, ale spojrzał przecież w oczy, znów uciekł do munsztuka: — Sekretarka, lat dwadzieścia dwa, okaz zdrowia, dosyć tępa, miesiąc usiłowałem ją trochę wymusztrować, podnieść jej kwalifikacje. Szło opornie, ale nie traciłem nadziei, że nadrobię to jej opóźnienie okupacyjne. I co pan powie? Pewnego dnia — nie przyszła do pracy. Znikła. Purement et simplement. Choćby słówko wyjaśnienia.

Znowu zerknął na Sinickiego dłużej. Może zwiodło go niezamaskowane znużenie tamtego, może przyjął to, jako niepokój, dość, że nabrał rozpędu, niemal zaczepnie dorzucił:

— I wie pan, co rozpowiadają jej koleżanki? Żeście ją porwali.

Tym razem już nie patrzył na dobre. Sinickiemu zabrakło siły:

— Pan wie dobrze, że to nieprawda. — Nowa gaffa zupełnie go rozwścieczyła. Nie mógł się opanować: — Czy po to pan chciał się ze mną zapoznać?

Sznajder już znów spotulniał, usteczka w uśmiech ułożył, powiekami zatrzepotał:

— Ależ oczywiście, oczywiście. Ja tylko... jako przykład perfidnej roboty podziemia... Sami coś uknują, a potem na was. O, prowokacja ma w tym kraju stare tradycje! Taki lwowski zjazd PPS! Pan za młody, nie pamięta, ale ja...

Sinicki oparł się nieznacznie o framugę okienną. Oczy utrzymał otwarte, ale ciurkanie sznajderowskiej wymowy na tle ogólnego rozgardiaszu wywołało w nim dziwaczną drzemkę, która tylko słuch poraziła. Patrzył na sznajdrową muszkę, myślał: co za nonsens, że tu sterczę, to ma być odpoczynek? Lepiej po prostu do łóżka, jutro wcześniej wstanę. Czyjś donośny rechot przywrócił mu jednak słuch, podniósł oczy z muszki na twarz tamtego, zaczął coś niecoś rozumieć:

— ...oni szantażują, wie pan? Co tu gadać, są jeszcze potęgą. Dlatego konfidencjonalnie, ściśle osobiście, bez wzmiankowania w jakichkolwiek protokółach, dla pana! Osobiście dla pana! Pan przyjmuje te warunki?

Sinicki chciał przetrzeć oczy, wydało mu się, że to mu pomoże uchwycić całość perory Sznajdra. Temu się jednak wydało pewnie, że Sinicki się ociąga, zaczął komentować:

— Nie wiem, kto u was jest swój, kto ich. Pan rozumie? Dlatego nalegam: żadnych protokółów, tylko dla pana. Zgoda?

— Ależ, proszę pana!

— Więc niech pan słucha. W Krakowie jest taki archiwista, profesor Tulla. On ma wszystko u siebie, pan rozumie? Kilkadziesiąt tysięcy teczek, akt, woluminów. Idealna kryjówka dla podziemnego archiwum...

— A po co im archiwum?

— Jak to po co? Dla historii. I dla osobistych wygód. Komu Restitute, komu Militari. Kogo na wojewodę, kogo na dyrektora departamentu. Od sześciu lat szafują nominacjami i odznaczeniami. Bez archiwum zagubiliby się, pozapominali. Ile swarów, ile kopenikiad, bez archiwum.

Sinicki oprzytomniał do reszty. Patrzył w oczy Sznajdrowi i ten z kolei zaczął się plątać, przestępować z nogi na nogę. Przecież jeszcze dokończył deklarację: aby pan wiedział, że całym sercem po stronie nowej Polski, ja, stary ludowiec...

Wypadałoby w tym miejscu stanąć na baczność, salutować, rozejść się. Ale Sznajder jeszcze go nie popuścił. Wziął pod rękę: dołączmy do towarzystwa, poprowadził przez hall, rozdawał hojnie uśmiechy mijanym gościom i dosyć głośno perorował na pierwszy temat ich rozmowy: o deprawacji młodzieży. Trudno było rozumieć, po co wraca do tego. Dopiero, gdy wracali do swego samotnego kąta: — ...taki Karasiewicz, na przykład, naczelnik wydziału u nas, pan go zna, ha, ha, ha! Cynik, tchórz, a jednocześnie szantażysta i łgarz patologiczny. Wie pan, pseudologia fantastica...

*

W Krakowie przyjęto go bez szczególnego entuzjazmu. Słuchy o niepowodzeniach z Barbarą i akcją zet musiały, rzecz prosta, dotrzeć do Potapki, zarówno jak i żarciki na temat wakującego stanowiska holmesowego. Wtajemniczony na temat profesora Tulli Potapko najpierw poddał w wątpliwość dane Sinickiego. Miał zrazu ułatwione zadanie, zważywszy, że Sinicki nie ujawnił źródła informacji i głowy za jej prawdziwość też dawać nie śpieszył. Ale lokalna ocena znakomitego archiwisty wykazywała prawdopodobieństwo oskarżenia sznajdrowego. Wtedy wypłynęła sprawa taktyki.

— To człowiek zaciekły — mówił Potapko. — Jego można rok trzymać i też nic nie powie. Tym bardziej, że, jak mówicie — taki rarytas chowa, całą swoją księgowość... To niełatwe. To tylko wam tam się zdaje, raz, dwa i gotowe. A naprawdę...

— Co więc proponujecie?

— To trzeba przemyśleć.

Myślano kolektywnie ze dwie godziny. Któryś z potapkowych towarzyszy wysunął koncepcję podesłania Tulli jakiegoś praktykanta. Potapko nie to, żeby zganił, ale też nie bardzo pochwalił. Proponował i tę wersję przemyśleć. Sinicki uczynił to w piętnaście sekund:

— Po pierwsze, trzeba kogoś, kto by się znał na technice archiwalnej, inaczej Tulla od razu poczuje swąd. Macie takiego? Po drugie, choćbyście mieli, ile czasu mu trzeba będzie, aby tullowe zaufanie zdobyć? Miesiąc, dwa?

— Raczej dwa — przytwierdził Potapko.

— To znaczy jeszcze dwa miesiące będą nam ludzi wybijać, a my nic. Zrozumcie, przecież tam jest klucz od akcji zet!

— Albo jest, albo nie ma. — Potapko skrzywił się. — Żadnej pewności...

— Ale może być! Nie możemy tego tak odkładać. Każdą szansę...

— Ja myślę — zaczął Potapko — że po porządku najlepiej.

— Jak po porządku?

— Tego całego profesora zamknąć. I badać tutaj. A jednocześnie tam żeby szukali. Rosadzić dwóch. Żeby po kolei, teczkę po teczce...

— Ile tam tego jest? — zapytał Sinicki.

— Największe archiwum w Polsce. Chyba ponad milion pozycji.

Sinicki poczuł coś jakby mdłości. Sznajder mówił o paruset tysiącach. W umyśle spróbował policzyć. Ile pozycji dziennie przejrzy jeden średnio lub niżej średnio wykształcony człowiek? Tysiąc? Chyba tyle nie. Przypuśćmy. Więc dla dziesięciu trzy miesiące. Dla trzydziestu — miesiąc. Ale skąd wziąć już nie trzydziestu, piętnastu? I znowu co najmniej dwa miesiące czekania...

Jego obliczenia zrobiły pewne wrażenie. Tylko Potapko upierał się: prawidłowo, zgodnie z instrukcjami i przepisami.

— Nie, to do niczego! — odparł Sinicki. — Jak możemy gościa aresztować, jeśli nie mamy dowodów? A nuż moja informacja nieścisła? Albo — miesiąc czy dwa będziemy żyli w archiwum, nikogo tam nie wpuścimy i krakowiaczki nam kocią muzykę — bezpieka rządzi Polską. Do niczego!

— E, wam by tylko mędrkować! Macie co lepszego?

— Jaki on jest, ten Tulla? — Sinickiemu zaczął się rysować pomysł, czym prędzej zapalił papierosa, aby ukryć błyski w oczach. — Mądry, głupi?

— Jak to profesor, w papierzyskach mądry, w życiu głupi. Nas nienawidzi gorzej jak Niemców. Bo co?

— Nienawidzi, czy się boi?

— Ja wiem? I to i to.

— Bardzo dobrze. Dajcie mi samochód i szofera w cywilu. Przywiozę wam archiwum.

Potapko zaśmiał się: — Blaguje! — ale zaraz spochmurniał: — Pewnie coś przed nami ukrywacie. To nieładnie, już ze trzy godziny zmarnowaliśmy. Trzeba było od razu...

— Nic nie ukrywałem, daję słowo. To tylko teraz... Jakżeście powiedzieli, że nas nie lubi i boi się.

— E!

— Jeśli to prawda, coście powiedzieli — archiwum tu będzie za pół godziny. Słowo!

— A jak nie będzie?

— To go sami zrobicie, jak uznacie za najlepsze.

Potapko zapalił się nagle: jadę z wami.

— Za nic. Was tu znają.

Sinicki wypytał dokładnie, jak się wchodzi do archiwum, na planie przestudiował rozkład pokojów i drogę do gabinetu Tulli. Patrzyli nań z mieszaniną niedowierzania i entuzjazmu. Jeśli się uda — ile ciężkiej i nudnej roboty się zaoszczędzi. Sinicki nie ostudzał nadziei, wprost przeciwnie, proponował zakłady. Ze szczególną radością powitał oświadczenie, że gabinet tamtego mieści się na drugim piętrze. — Na pewno? I schody jak? Strome? Cudownie.

Potapko aż się zamlepokoił niedorzecznością tych szczegółów. — Co wam? Możeście się przeziębili? Po co wam schody? — Sinicki tylko łysnął oczami: zobaczycie.

W pół godziny później, upewniwszy się, że o tej porze Tulla urzęduje i gości jest zwykle niewielu — ruszył rozklekotanym Mercedesem (Potapko proponował daremnie swego wspaniałego Buick'a) do archiwum. Starając się nie rozpytywać o drogę, przebrnął przez zakurzone półciemne korytarze, doszedł do schodów, sprawdził na szkicu — czy aby te same i nagle z całym rozpędem rzucił się do góry. Robił susy przez cztery i pięć schodów, na zakrętach przelatywał pół obrotem, wsparty na ręku, znowu biegł, skakał, pędził. Na drugim piętrze był już zgrzany do reszty, serce mu łomotało, rumieńce zalały policzki i czoło. Z rozpędu dopadł do drzwi, puknął raz i drugi. — Proszę — ktoś zawołał.

Gabinet był duży i półciemny. Biurko pod oknem i jakiś pan, niewysoki, szpakowaty. Wstał i patrzył, oniemiały, może zły.

— Pan... pro...fes...sor... Tulla? — Sinicki łapał oddech z wysiłkiem, zatoczył się, oparł o skrzynię z papierzyskami.

— Tak. Co się stało? — Zrobił dwa kroki naprzód, już zaniepokojony.

— Pan... jest... sam?

— Tak. Co to? Pożar?

— Gorzej... Wsypa... Niech pan... pośpie...szy... auto na dole... zaraz... za gra... nicę...

— Jak to? Wsypa? Nic nie rozumiem. Pan się pomylił! Jaka wsypa?

— Na... litość... boską... szybciej... Zaraz tu... będą... Proszę... zabrać... wszystko... całe... archiwum...

Tulla zrobił krok do bocznych drzwi, przystanął, już przerażony, ale nie uświadamiając jeszcze nagłości tego ostrzeżenia, otworzył usta...

— Prędzej! — przerwał mu Sinicki. — Wyprzedziłem ich o dziesięć minut, może o kwadrans...

Nareszcie! Tulla skoczył do pokoju obok, bełkocąc coś o bałaganie, o rodzinie, katedrze, ale już targał szuflady, przewracał szare od kurzu teczki, darł próchniejące szpagaty. Sinicki podpędzał go niemiłosiernie, zezując na zegarek i skandując — jeszcze siedem, jeszcze pięć... Przed nim rosła kupka szarawych bibułek, niewielka, znikoma, ulotna. Ani rudej plomki, ani spłowiałej kropelki tej krwi, której bilans miał teraz na dłoni. Tulla podbiegł — wszystko! Uciekajmy!

— Wszystko? Na pewno? Powojenne całe?

— Ach, byłbym zapomniał! — klepnął się dłonią po czole, zostawiając trzy szare plamy: czoło mokre, palce w kurzu. Skoczył raz jeszcze, z małpią zręcznością wdrapał się na najwyższą półkę, chwycił grubawą tekę, cisnął: — Trzymaj pan! — i już był z powrotem. Była większa od wszystkich tamtych. — Ordery! — też zmachany, wysapał.

— Biegnijmy.

— Na pewno wszystko? Profesorowie są roztargnieni...

— Wszystko, na pewno. Prędzej!

Już w samochodzie, zezując, czy nie śpieszą do archiwum motocykle bezpieki, zaczął kreślić plany: nawet się cieszy, dawno chciał za granicę. Do Paryża...

— Co pan każe zrobić z pańską małżonką? — usłużnie przypomniał Sinicki. — Też do Paryża?

— Niech zostanie, kuzyni jej pomogą. Do Paryża? Żonę? Wie pan! Sowy do Aten wozić...

*) Fragmenty nowej powieści, której akcja toczy się w pierwszych latach powojennych.

Rys. Jerzy Ćwiertnia

Kiosk książkowy

ZGODNIE Z SUMIENIEM

„...Póki jeszcze przesłuchiwał go oficer warszawski „Mikołajowi" dopisywały nerwy. Skoro jednak powiedziano mu, że stanie przed Piechną, nerwy rozprzęgły się jak przecięte sznurki. „Mikołaj był przekonany, że: godzina, w której zobaczy Piechnę, będzie jego ostatnią godziną. Ten już to załatwi..."

Nadeszła krytyczna godzina spotkania, nieuchronna, groźna gniewem mściciela. Wszystko przewidział dowódca leśnej bandy, wszystkiego się spodziewał, nie wziął tylko pod uwagę jednego, że Kazik Piechno... ale tutaj należałoby chyba przepisać całe opowiadanie, a przecież nie o to chodzi. Napisał je Jacek Bocheński i znaleźć je można w zbiorniku, który tytuł wziął od cytowanego opowiadania — „Zgodnie z prawem"*).

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że nasza literatura o współczesnej wsi jest jeszcze o wiele za skromna zarówno poziomem literackim jak również prawdziwością realiów, o wiele niedorastająca potrzebom, to opowiadania Jacka Bocheńskiego stanowią pozycję bardzo charakterystyczną. Cechuje je to, czego tak często brak współczesnej literaturze: czyta się je z zapartym tchem, z niespokojem w sercu — co będzie dalej? Co stanie się z bohaterem? Każda przeczytana strona wciąga głębiej w pasjonującą lekturę.

Opowiadania Jacka Bocheńskiego można śmiało zaliczyć do lektury, którą nie tylko czyta się, ale i przeżywa. Potrafił autor pokazać człowieka wraz z całym jego skomplikowanym nieraz stanem psychicznym.

Trudne sprawy miał do rozstrzygnięcia Wójcik, bohater jednego z opowiadań i warto zanotować zdanie, które zadecydowało o przebiegu wydarzeń: „...Każdy działacz partyjny, jeśli serce nie ma w nim uschnąć, powinien co pewien czas przekładać sprawozdanie swemu komunistycznemu sumieniu jak szczególnej egzekutywie..."

Bocheński uczy nowego spojrzenia na rządzące nami prawa, uczy zgodnie z sumieniem, zgodnie z prawdą — ZGODNIE Z PRAWEM.

R. W.

*) Opowiadania Jacka Bocheńskiego — „Zgodnie z prawem". Czytelnik. Cena 6 zł.

Wytnij i dołącz do poprzednich kuponów. Kto prześle do redakcji w jednej kopercie 3 kolejne kupony (poczynając od dowolnego numeru) ten weźmie udział w losowaniu bonów książkowych wartości 500 zł 300 zł i 200 zł

Kupon premiowy nr 29

DOMU KSIĄŻKI I REDAKCJI POPROSTU

upoważniający do wzięcia udziału w losowaniu bonów książkowych o wartości 500, 300 i 200 zł

Nazwisko i imię

Adres

Uczelnia wydział rok

O procentach i dobrobycie

Podszedł raz do mnie pewien student i powiada tak:

— Tyle się mówi, że program nakreślony przez IX Plenum to ogromne osiągnięcie, że to krok naprzód itp., itp. A tymczasem ja uważam, że to krok wstecz.

Aż się zachłysnąłem ze zdumienia.

— Jak to wstecz? — zapytałem — w porównaniu do czego?!

— Do założeń Planu Sześcioletniego.

— Zaraz, zaraz, jak to Wam wyszło?

— Ano, w Planie 6-letnim jest powiedziane, że stopa życiowa wzrośnie o 60 proc. Mamy już dotąd wzrost o 15 proc., a będzie jeszcze o 15 proc. To razem 30 proc. A gdzie jeszcze 30 proc.?!

Zapytałem mego interlokutora czy sam dokładnie przestudiował ustawę o Planie i tezy, a gdy buńczucznie odpowiedział „tak", zaprowadziłem go do najbliższej biblioteki, tłumacząc po drodze, że poplątał wiele rzeczy, a niektórych nie chciał spostrzec.

— Ot, czytajmy — powiedziałem, gdy mieliśmy już potrzebne nam materiały. — W ustawie o Planie mówi się w rozdziale 3, paragrafie 2, że „wzrost stopy życiowej ludności wyniesie 50 — 60 proc. w porównaniu z rokiem 1949".

— A widzicie?! — przerwał z satysfakcją.

— Zaraz, czytajcie do końca. Dalej jest tu wyraźnie napisane, że na wzrost ten złoży się nie tylko wzrost płac, ale również i zatrudnienia, a także rozwój wczasów i lecznictwa, urządzeń kulturalnych i socjalnych, budownictwa mieszkaniowego i szkolnictwa. Bo stopa życiowa jest to pojęcie obejmujące wszystkie strony naszego życia, wszystkie nasze potrzeby, a nie tylko te, które zaspokajamy kupując towar w sklepie. Wysokość płac realnych jest bodaj najważniejszym wskaźnikiem stopy życiowej, ale nie jedynym. Natomiast jeśli chodzi o płace realne, to ustawa o Planie 6-letnim mówi w punkcie 4 tego samego rozdziału, że „...realne zarobki robotników i pracowników umysłowych w gospodarce socjalistycznej wzrosną przeciętnie w roku 1955 o 40 proc. w porówaniu z rokiem 1949".

— No dobrze, ale co z tego wszystkiego? — niecierpliwi się ów student.

— Trochę cierpliwości, a zaraz dojdziemy do wniosków. A są one takie: po pierwsze poplątaliście stopę życiową z płacą realną. Stąd wam wyszło te 30 proc.

— Choćby nawet. To i tak brakuje jeszcze 10 proc.

— Chwileczkę. Tu trzeba trochę matematyki. To są tzw. procenty składane. Gdy dodamy 15 proc. do 100 będzie 115 proc. Zgoda. Ale gdy doliczymy 15 proc. do osiągniętych już 115 — czy będzie tylko 130 proc.?

— ???

— Jasne, że nie! Ile to będzie?

— ...132,25 proc.

— A więc widzicie, że wasze podszepnięte przez kogoś 30 proc. spadło prawie do 7 proc. Zgadzacie się?

— No tak...

— Widzicie, ale ja się znów nie zgadzam, bo tak nie jest. A wy, ponieważ nie myślicie samodzielnie, łatwo dajecie się nabierać takim, którym na tym zależy.

— Nic już nie rozumiem...

— Zaraz zrozumiecie. Myśmy dodawali tu dwie różne wielkości. Te 15 proc., które mamy wywalczyć w dwóch najbliższych latach, dotyczyć mają realnych zarobków każdego z nas. Każdy robotnik czy urzędnik będzie mógł powiedzieć w roku 1955: za swoje pobory mogę kupić dziś co najmniej o 15 proc. więcej niż dwa lata temu. Niezależnie zaś od tego więcej osób w jego rodzinie będzie pracować, więcej będzie szkół, szpitali itd., tak że stopa życiowa wzrośnie więcej niż o 15 proc.

Natomiast te 15 proc. wzrostu, które osiągnęliśmy za 4 ubiegłe lata, dotyczy realnych dochodów na głowę ludności — poza rolnictwem. Nasze realne zarobki nie wzrosły przeciętnie o 15 proc., choć u niektórych kategorii robotników, tych na akordzie — na pewno tak. Ale przeciętnie — nie. Wzrosły o 15 proc. dochody na głowę ludności pracującej poza rolnictwem, przede wszystkim dzięki temu, że w każdej niemal rodzinie zaczęło więcej osób pracować i zarobkować.

— Czekajcie, coś mi świta! To tak jak u nas. Ojciec jest księgowym i jak zarabiał 1000 złotych z kawałkiem tak i zarabia teraz. Ale zaczęła pracować moja starsza siostra, która skończyła farmację i zarabia 700 złotych. Jest dopiero na praktyce. Matka nie pracuje. A więc w 1949 roku na każdą osobę z naszej rodziny przypadało miesięcznie 250 zł, a teraz 425 zł.

— No widzicie! Tak właśnie jest. A w skali całego kraju ten wzrost wyniósł 15 proc. I naturalnie jest to mniejszy przyrost stopy życiowej niż ten, który w ciągu dwóch lat osiągniemy przede wszystkim przez 15 proc. wzrost płacy realnej każdego z nas.

— No tak, ale w takim razie ta różnica jest wyższa od 7 proc.?

— Wyższa. Ile wyższa — dokładnie tego nie powiem wam, bo nie wiem sam dokładnie, ale fakt, że wyższa. Choć niższa od 10 proc.

— No to znaczy, że miałem rację, że krok wstecz.

— Oczywiście nie. Po pierwsze, abstrahując od różnicy między tymi dwoma wielkościami (realna płaca — stopa życiowa) to jakby nie było Plenum, to idąc dotychczasowym tempem osiągnęlibyśmy te 15 proc. nie za 2 lata lecz za 4 lata. A biorąc pod uwagę te różnice, to jeszcze później. A więc jak jest — dzięki Plenum pójdziemy szybciej czy wolniej?

— No, szybciej...

— A zatem krok naprzód!! Po drugie zaś, partia nie ukrywa nigdy naszych trudności. Wprost przeciwnie: ujawnia je i mobilizuje nas wszystkich do przezwyciężenia ich. W tezie 76 czytamy wyraźnie, że „zadania Planu Sześcioletniego w dziedzinie wzrostu poziomu życiowego ludności ...nie zostały w okresie lat 1950—1953 w pełni wykonane".

I dlatego właśnie IX Plenum podejmuje środki, by jak najszybciej podnieść nasz dobrobyt.

STANISŁAW ALBINOWSKI

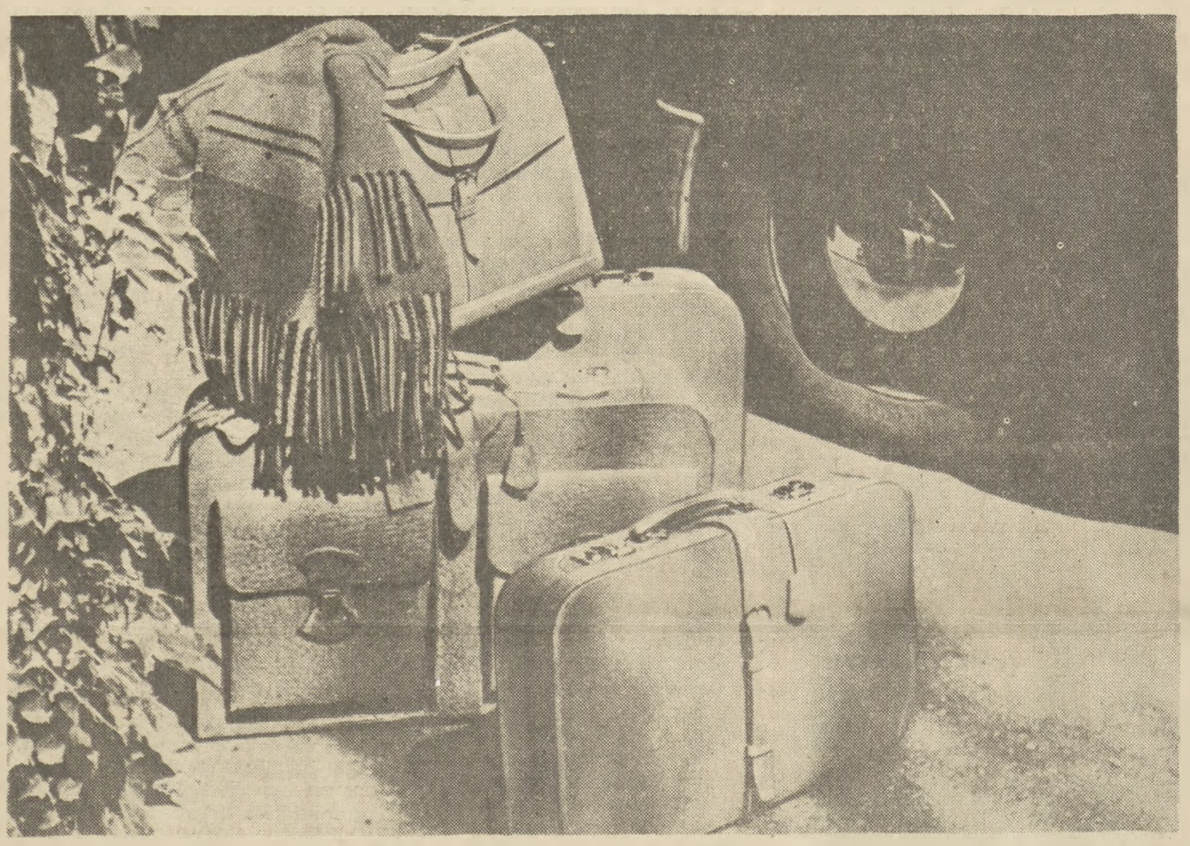

Piękne i praktyczne są te wyroby galanterii skórzanej. Wykonane zostały one w naszych zakładach przemysłowych, przez naszych wytwórców.

Z PRZEKREŚLONYCH LAT

Wprowadzamy na łamy naszego tygodnika nową, stałą szpaltę pod tytułem: „Z przekreślonych lat". Materiałów do tej szpalty dostarcza nam zarówno postępowa jak i reakcyjna prasa polska z lat dwudziestolecia międzywojennego. Drukować, a raczej przedrukowywać będziemy tu obrazki i fakty typowe dla ustroju, który raz na zawsze wymietliśmy z naszych ziem, ustanawiając w 1944 roku władzę robotników i chłopów — władzę ludową.

ROK II — Nr. 15 (46) BIAŁA, DNIA 10 KWIETNIA 1932 Cena Gr. 20 gr.

GŁOS CHŁOPSKI

TYGODNIK GOSPODARCZO-SPOŁECZNY

W czasach „radosnej twórczości"...

Chłop przyprowadził na sprzedaż... 18-letniego syna.

W czasach, jakie przeżywamy obecnie, nic już nas nie dziwi...

Ze Zduńskiej Woli (woj. łódzkie) donoszą o następującym fakcie:

Na jarmark przybył jeden z okolicznych włościan, niejaki Pietrzykowski, przyprowadzając na sprzedaż swego 18-letniego syna.

Ponieważ miał trzech synów w domu, a skrajna nędza nie pozwala mu na ich wyżywienie, zaofiarował kupno swego syna za 50 złotych. Znalazł się też nabywca ze wsi Wróblewo, który, zgodziwszy się na warunki ojca, przyrzekł mu ponadto, że za dwa lata, o ile chłopiec będzie się dobrze sprawował, dopłaci jeszcze ojcu 20 cetnarów żyta, a za to chłopiec przejdzie całkowicie w jego posiadanie.

Nadsyłajcie dokładne adresy poczt!

Zdarzenie zarejestrowane przez „Głos Chłopski" nie było bynajmniej jakimś odosobnionym wypadkiem, świadczą o tym takie fakty:

W powiecie radomskim zamożny kolonista, Wł. Pieruński nabył od mieszkającego w tejże wsi biednego chłopa J. Targońskiego, córkę. Przy akcie kupna sporządzono formalny dokument w myśl którego: „Niżej podpisany J. Targoński zdrów na umyśle sprzedaje swą córkę, Zofię, Wł. Pieruńskiemu na dożywotnie i stałe użytkowanie do w s z y s t k i e g o",

A we wsi Bieganie biedna wdowa Pietkiewicz, żyjąca w nadzwyczaj ciężkich warunkach materialnych i posiadająca 5-cioro dzieci, sprzedała swego 11-letniego syna sąsiadowi za 10 zł., 5 pudów zboża i kilka pudów kartofli. („Ilustrowany Kurier Codzienny" 1934 r.) (Ja.)

Zamieszczając poniżej fragmenty artykułu doc. Diriektorienko, który ukazał się w numerze 11/1953 radzieckiego miesięcznika „Wiestnik wysszoj szkoły", rozpoczynamy cykl materiałów o doświadczeniach pracy katedr nauk społecznych w dziedzinie organizacji samodzielnej pracy studentów. Równolegle zamieszczać będziemy materiały o pracy naszych katedr i organizacji zetempowskiej na tym odcinku.

Redakcja zwraca się z apelem do pracowników katedr podstaw marksizmu-leninizmu i ekonomii politycznej oraz do aktywistów zetempowskich, aby dzielili się swym doświadczeniem w pracy nad mobilizowaniem studentów do t w ó r c z e g o studiowania marksizmu-leninizmu.

Docent M. A. DIRIEKTORIENKO
Białoruska Akademia Rolnicza

O twórcze, samodzielne studiowanie marksizmu-leninizmu

Wiadomo, że decydującą rolę w opanowaniu wiedzy w szkole wyższej odgrywa samodzielna praca studentów. Właśnie od tego, na ile skutecznie profesorowie i wykładowcy potrafią zaszczepić swoim wychowankom nawyki samodzielnej pracy twórczej, w znacznej mierze zależy jakość przygotowania przyszłego specjalisty. Rozwiązanie tego trudnego zadania wymaga systematycznej pracy od pierwszego dnia wstąpienia studenta na wyższą uczelnię.

Pracownicy katedry marksizmu-leninizmu Białoruskiej Akademii Rolniczej już w pierwszych wprowadzających wykładach swojego przedmiotu pokazują znaczenie teorii marksistowsko-leninowskiej i jednocześnie wyjaśniają studentom, że główną metodą opanowania nauki marksistowsko-leninowskiej jest metoda pracy samodzielnej. Dajemy studentom do zrozumienia, że żadne wykłady, seminaria i konsultacje nie mogą zastąpić studiowania dzieł **klasyków** marksizmu-leninizmu. Wyjaśniając, że opanowanie teorii marksistowsko-leninowskiej oznacza przyswojenie sobie jej **istoty,** jej rewolucyjnego, twórczego ducha, wykładowcy ostrzegają studentów przed szkolarskim, dogmatycznym, niekrytycznym podejściem przy studiowaniu marksizmu-leninizmu.

Katedra daje również praktyczne wskazówki studentom w dziedzinie organizacji samodzielnej pracy, przeprowadza cykl wykładów metodycznych na takie tematy, jak: „Jak pracować nad książką?", „Jak pracować nad dziełami klasyków marksizmu-leninizmu?", „Metodyka samodzielnej pracy przy studiowaniu kursu podstaw marksizmu-leninizmu" itd. Doświadczenie pokazuje, że wykłady takie przynoszą wiele korzyści studentom, szczególnie pierwszorocznikom.

Jest rzeczą zrozumiałą, że wymagając od studenta twórczego stosunku do studiowania teorii marksistowsko-leninowskiej wykładowca musi się troszczyć o to, aby prowadzone przez niego zajęcia służyły jako przykład twórczego podejścia do nauki. Nigdy nie zapominamy o tym, że jeśli wygłoszony wykład nie wzbudził zaciekawienia u studentów, nie spowodował pytań — znaczy, że wykład nie osiągnął celu, znaczy, że może zrodzić formalny stosunek studiującego do przedmiotu, zabić zainteresowanie studiowaną teorią.

Wykładowcy naszej katedry starają się skonstruować wykład w ten sposób, aby go nie przeładowywać szczegółami, aby nie był gadatliwy, aby koncentrował się na podstawowych zagadnieniach tematu, by był nasycony konkretnym materiałem i argumentowany klasycznymi tezami źródłowymi. Skuteczność teorii marksistowsko-leninowskiej staramy się pokazywać nie tylko na przykładach historycznych, lecz i na faktach dnia dzisiejszego, wyjaśniających politykę naszej partii, zasady i praktykę budownictwa komunistycznego, stosunków międzynarodowych itd.

Po to, aby wykłady były właśnie takie, kolektyw katedry prowadzi stale pracę metodyczną. Katedra nakłada na wykładowców obowiązek nie tylko dokładnego przygotowania się do wykładu, lecz również przygotowania studentów do aktywnego ich przyjęcia: zawczasu zapoznać studentów z planem wykładów i spisem podstawowej literatury, wciągać ich do przygotowania poglądowych pomocy naukowych do wykładu, uczyć ich prawidłowego notowania wykładów. Wykładowcy wyjaśniają studentom, że całą swoją uwagę powinni skupić na przyswojeniu istoty wykładanych zagadnień i w zeszytach notować tylko to, co jest najważniejsze.

Ale dawać studentom dobre rady — to tylko połowa zadania; trzeba pomóc im w zastosowaniu tych rad. Właśnie ze względu na to na naradach metodycznych przy omawianiu tekstów wykładów wiele uwagi poświęcamy sprawie ich budowy, metodyce wykładania. Wskazujemy na konieczność precyzyjnego stawiania zagadnień w wykładzie, podkreślania przejścia od jednego zagadnienia do drugiego, wydobywania tego co główne. Wykładowcy wskazują w ten sposób studentom na co właśnie trzeba zwrócić szczególną uwagę.

Jeszcze większą rolę w organizacji samodzielnej pracy studentów odgrywają zajęcia seminaryjne: powinny one zachęcać studentów do pogłębionego studiowania dzieł **klasyków** marksizmu-leninizmu, pomagać im w powiązaniu sformułowań teoretycznych z praktyką budownictwa komunistycznego, teoretycznie przemyśleć zjawiska życia współczesnego. Rolę tę seminaria spełnić mogą wyłącznie wtedy, gdy wykładowcy potrafią przeprowadzać je metodą żywej rozmowy i dyskusji.

W ubiegłym roku akademickim w atmosferze dużej aktywności studentów przebiegały seminaria na pierwszym i drugim roku wydziałów ogrodniczego, agrochemicznego i ekonomicznego, jak również na szeregu grupach innych wydziałów. Na przykład na jednej z grup II roku wydziału ogrodniczego przy studiowaniu dzieła W. I. Lenina „Dziecięca choroba lewicowości w komunizmie" żywą dyskusję wywołało omawianie zagadnień konieczności wzięcia pod uwagę narodowych czynników przy wykorzystaniu doświadczeń ruchu robotniczego innych krajów oraz właściwości demokracji ludowej jako formy dyktatury proletariatu. W czasie seminariów na temat „Partia bolszewików w walce o socjalistyczne przemysłowienie kraju", studenci tej grupy, przytaczając obszerny materiał faktyczny charakteryzujący sukcesy industrializacji w krajach demokracji ludowej i pomoc ZSRR dla tych krajów poddali ostrej krytyce „teorie" prawicowych socjalistów o „trzeciej sile", o „demokratycznym socjalizmie" itd.

Przy omawianiu na seminariach Uchwał KC Partii w sprawie pracy ideologicznej, przyszli agronomowie pokazywali znaczenie tych uchwał dla rozwoju nauki rolniczej, wykorzystując przy tym materiały z przedmiotów ściśle fachowych i prace wybitnych uczonych. Spośród 29 studentów tej grupy na każdym seminarium występowało 12—18 studentów.

Obok ożywionych dyskusji na seminariach praktykuje się omawianie referatów studentów na temat poszczególnych zagadnień teoretycznych. Tak na przykład na grupach II roku wydziału ekonomicznego przy studiowaniu dzieła Lenina „Dziecięca choroba lewicowości w komunizmie" przygotowano i omówiono referaty studentów na tematy: „J. W. Stalin o międzynarodowym znaczeniu doświadczeń bolszewizmu w pracy „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR", „Walka o jedność klasy robotniczej w warunkach współczesnych", „Lenin o znaczeniu krytyki i samokrytyki dla partii proletariackiej". Referaty te wywołały ożywione dyskusje.

Jeden ze studentów występując z referatem na pierwszy z wymienionych tematów szczegółowo przedstawił zagadnienie międzynarodowego znaczenia naszej polityki gospodarczej, pokazał jej znaczenie dla krajów demokracji ludowej, przytoczył przykłady ilustrujące teoretyczne sformułowanie, że poszczególne kraje mogą w swoim rozwoju wykorzystać pozytywne doświadczenia innych krajów, jak również uniknąć ich omyłek.

Wiadomo, że na każdej uczelni istnieją studenci, którzy szukają lekkich dróg „opanowania" nauki. Ograniczają się oni do pobieżnego notowania wykładów, nie pracują nad materiałami źródłowymi, lecz zadowalają się komentarzami. W wystąpieniach na seminariach, w odpowiedziach na kolokwiach i egzaminach w najlepszym wypadku powtarzają to, co usłyszeli na wykładach lub wyczytali z broszur. Ich wypowiedzi są blade i powierzchowne. Istnienie takiej kategorii studentów często obciąża sumienie wykładowców, którzy nie potrafili zaszczepić studentom zamiłowania do swojego przedmiotu i nawyków samodzielnej pracy.

Przeprowadzamy wśród studentów pogadanki metodyczne na tematy: charakteru i miejsca seminariów w systemie nauczania na wyższej uczelni, jak należy przygotowywać się do seminariów, konspektować literaturę, jak organizować swoją samodzielną pracę.

Duże znaczenie przypisujemy indywidualnym konsultacjom, wykorzystując je dla kontroli nad pracą każdego studenta i udzielenia mu pomocy. Konsultacje są specjalnie rozplanowane tak, aby nie było akcyjności w ich przeprowadzaniu. Organizując konsultacje indywidualne przestrzegamy wykładowców przed przekształceniem ich w „prawienie morałów" studentom.

Katedra znajduje się w stałym kontakcie ze studenckimi partyjnymi, komsomolskimi i związkowymi organizacjami. Wykładowcy informują te organizacje o brakach w samodzielnej pracy studentów, o opuszczaniu zajęć, o mało aktywnym stosunku do nauki. Zagadnienia te są omawiane na zebraniach studenckich, w instancjach komsomolskich i związkowych, a pomoc ich jest bardzo efektywna.

Na przykład przez pewien czas studenci jednej z grup II roku źle przygotowywali się do zajęć. Na prośbę wykładowcy organizator partyjny wydziału zwołał specjalne zebranie komsomolskie, na którym wyjaśniło się, że w dzień seminarium z podstaw marksizmu-leninizmu harmonogram zajęć przewiduje jeszcze dwa seminaria z innych przedmiotów. Harmonogram został zrewidowany. Oprócz tego organizator partyjny przeprowadził rozmowę z grupą. Wszystko to dobrze wpłynęło na przygotowanie studentów do seminariów.

Dużą pomoc w organizowaniu pracy samodzielnej studentów okazuje istniejący przy katedrze gabinet marksizmu-leninizmu. Gabinet posiada dużą bibliotekę, w której oprócz książek znajdują się albumy z historii KPZR, mapy polityczne, materiał informacyjny, podstawowe polityczne gazety i czasopisma, kartoteka artykułów z gazet i czasopism z dziedziny historii partii, filozofii, ekonomiki, stosunków międzynarodowych, teczki z wycinkami z gazet. Gabinet organizuje wystawy literatury dotyczącej studiowanego tematu, dostarcza studentom planów zajęć seminaryjnych, sporządza listy literatury pięknej do poszczególnych tematów z historii partii, sporządza ilustrowane witryny z okazji ważnych rocznic, organizuje konsultacje dla studentów.

Ważnym środkiem aktywizacji samodzielnej pracy studentów w dziedzinie opanowania teorii marksistowsko-leninowskiej są studenckie konferencje teoretyczne i kółka naukowe przy katedrze. Szeroko wykorzystujemy je dla wypracowania u studentów nawyków samodzielnego myślenia, umiejętności korzystania z literatury, sporządzania bibliografii, orientowania się w materiałach faktycznych i cyfrowych. Przygotowania referatów na konferencje teoretyczne, na posiedzenia kółek zapoznają studentów z metodami badania naukowego, sprzyjają głębszemu przyswajaniu sobie teorii, pobudzają do samodzielnej twórczej pracy. Katedra przeprowadza w ciągu roku akademickiego dwie konferencje teoretyczne.

Tłum. I. WANIEWICZ

Kilka uwag o opiece zdrowotnej nad łódzkimi studentami

Nie jest tak dobrze jak sądzicie...

W październiku ub. roku zamieściliśmy artykuł omawiający sprawy lecznictwa studenckiego. Artykuł skierowany był przede wszystkim do Wydziałów Zdrowia Prezydiów Rad Narodowych, którym powierzono troskę o zdrowie studentów. Na Wydziały Zdrowia spada całkowita odpowiedzialność za pracę studenckiej służby zdrowia, odpowiedzialność tym większa, że wiek, różnorodność i rodzaj zajęć, a nawet czas pracy studentów (często dwukrotnie dłuższy niż dla innych warstw społeczeństwa) wymagają opieki szczególnie troskliwej.

Jak te wymagania są realizowane, możemy przekonać się, śledząc rozwój wypadków w zakresie spraw poruszonych w artykule: „Troska musi być wspólna".

NA PRZYKŁAD W ŁODZI

Obiektywnie istnieją wszelkie dane, aby warunki zdrowotne studentów łódzkich były nawet lepsze niż w innych miastach. Ośrodek leczniczy dla studentów dysponuje wystarczającą ilością lekarzy, siedmioma przychodniami przyuczelnianymi, przychodnią specjalistyczną, poradnią rentgenologiczną i półsanatorium dla zagrożonych gruźlicą.

Czy jednak nawet taki dość dobry stan zorganizowania i wyposażenia lecznictwa studenckiego w ośrodku łódzkim zwalnia odpowiedzialnych za te sprawy od dalszej troski o rozwój lecznictwa akademickiego, o jego ciągłe doskonalenie? A co najważniejsze, czy właściwa opieka została już studentom zapewniona?

Zajrzyjmy chociażby do półsanatorium przy Alei Tadeusza Kościuszki 21.

Jest to stary czynszowy dom, budowany przez prywatnego właściciela z obliczeniem na najwyższy zysk. Trzeba przyznać, że Ekspozytura ZOA włożyła wiele wysiłku, aby przebudować go i przystosować do nowych potrzeb. Ale od ponad pół roku ciągnie się sprawa otworzenia tam stołówki, która jest niezbędnie potrzebna. Uchwała w tej sprawie ponoć już jest, jednakże nic konkretnego jeszcze dotychczas nie przedsięwzięto. Mieszkańcy tego domu korzystają ze stołówki PWSP, z której donosi się im obiady. I tu zaczyna się jakaś nieprawdopodobna historia. Otóż studenci muszą płacić za obiad 5 zł dziennie. Jest to zupełnie sprzeczne z wytycznymi Ministerstwa Zdrowia, które po to przydziela specjalne dotacje w wysokości 9,75 zł dziennie na osobę, aby obiad kosztował tu studenta tak, jak w każdej innej stołówce, 3 zł, tym bardziej, że śniadania i kolacje bardzo często nie różnią się od tych, które otrzymują w PWSP pozostali zdrowi studenci. Zapytujemy: kto dał prawo Kierownictwu Zespołu Profilaktyczno - Leczniczego w Łodzi na podnoszenie cen obiadów? Cenimy wysoko inicjatywę kierownika tego zespołu, ob. Koprka, który wiele troski i wysiłku włożył w zapewnienie studentom jak najlepszych warunków życia w półsanatorium, jednak ta ostatnia racjonalizacja wydaje nam się wątpliwej wartości, gdyż niektórzy studenci rezygnują ze śniadań lub kolacji, aby móc zapłacić za obiad. Wniosek — rezerw trzeba szukać gdzie indziej, a nie w kieszeni studenta.

Wiele do życzenia pozostawiają także lekarskie przychodnie przyuczelniane w Łodzi. Przychodnia uniwersytecka mieści się w ciemnym i wilgotnym lokalu, a opalać go zaczęto dopiero — w myśl uchwały senatu UŁ — w końcu listopada. Akademia Medyczna w ogóle nie posiada przychodni.

CO NA TO WYDZIAŁ ZDROWIA?

Po prostu... nic. Wydział Zdrowia Prezydium Łódzkiej Rady Narodowej nie zna bolączek studentów. Wszystko, co nam może powiedzieć naczelnik Wydziału Lecznictwa Otwartego, dr Chrzanowski, o sytuacji zdrowotnej wśród studentów, zawiera się w jednym zdaniu: „Co mogą mieć, to mają". Według dr Chrzanowskiego „żadnych specjalnych trudności nie ma, bo kierownik Zespołu Profilaktyczno-Leczniczego dla Studentów jest zapobiegliwy nawet bardziej niż trzeba".

Ten brak zainteresowania lecznictwem studenckim nie jest cechą indywidualną doktora Chrzanowskiego. Podobnie traktuje te sprawy zastępca kierownika Wydziału Zdrowia, mgr. Boruta, który na nasze pytania „wyczerpująco" odpowiada: „To kolega..." Zaryzykowalibyśmy nawet stwierdzenie, że jest to specyficzna cecha całego Wydziału — bo jak np. wygląda jego bezpośrednia współpraca z Komisją Okręgową ZSP:

Półsanatorium dla zagrożonych gruźlicą utworzono w październiku 1952 r. Już w grudniu tegoż roku zabrakło funduszów na jego utrzymanie. Do budżetu na rok następny także go nie wstawiono. Ktoś o tym zapomniał... Dopiero dzięki staraniom ZSP (bezpośrednio w Ministerstwie Zdrowia) dokonano na ten cel przerzutu z innej pozycji budżetu Wydziału Zdrowia PŁRN. Wydział Zdrowia jedynie przeksięgował sumy...

W żadnym innym zresztą wypadku nie zanotowano inicjatywy Wydziału Zdrowia. Siedzi on sobie cichutko i... czeka na instrukcje.

W SPRAWIE STUDENCKICH KOMISJI

Studenckie Komisje Zdrowia zostały powołane uchwałą Rady Naczelnej ZSP w marcu 1953 r. Zadaniem ich jest współpraca i pomoc Wydziałom Zdrowia Prezydiów Rad Narodowych w roztaczaniu opieki lekarskiej w dużych skupiskach studenckich np. w domach akademickich.

Wydział Zdrowia w Łodzi odmówił współpracy z komisjami usprawiedliwiając się... brakiem odpowiednich instrukcji. Dopiero oficjalna interwencja z Warszawy pomogła Wydziałowi w nawiązaniu kontaktu z komisjami.

Zresztą stosunek Wydziału Zdrowia do pracy samego Zespołu Profilaktyczno - Leczniczego pozostawia wiele do życzenia.

Co mówi o tym ob. Koprek — kierownik zespołu?

Przede wszystkim jest mocno zażenowany, nie może się zdecydować Jest przecież pracownikiem Wydziału Zdrowia. A poza tym kierownik Wydziału, dr Cholewius, jest tak życzliwy, że nie wypada cokolwiek mówić... W końcu przyznaje jednak, że, o ile „Wydział Zdrowia mi nie przeszkadza, to wielkiego zainteresowania nie wykazuje..."

A nam chodzi właśnie o to zainteresowanie. Bo to, że dr Cholewius dobrze życzy studentom, jest bardzo ważne, ale potrzebna jest stała pomoc i kontrola pracy zespołu. Ob. Koprek dwoi się i troi, aby zapewnić studentom jak najlepszą opiekę lekarską, ale często ma poważne trudności, popełnia błędy, których nie ma mu kto wskazać.

W CZYM NALEŻAŁOBY POMÓC?

Ob. Koprek od kilku miesięcy trudni się wynajdywaniem mieszkań zastępczych dla pielęgniarki zajmującej lokal w Poradni Specjalistycznej przy ul. Piotrkowskiej. Jak dotychczas, wszystkie wskazane przez niego mieszkania Prezydium ŁRN wykorzystuje dla potrzeb swojego Wydziału Kwaterunkowego. Przecież to kpiny, a nie załatwianie spraw Czy Wydział Zdrowia nie potrafi tu pomóc?

Albo sprawa znalezienia odpowiednich lokali dla akademickiej służby zdrowia. Ponieważ ob. Koprek nie może sobie dać z tym rady, uzyskuje lokale kosztem mieszkań studenckich w DA, jak to było w półsanatorium przy ul. Kościuszki. Trzeba było wskazać ob. Koprkowi, że to jest niewłaściwe, ale jednocześnie pomóc w znalezieniu innych lokali. Powiecie, że to jest bardzo trudne. Gdyby było łatwe, ob. Koprek dałby sobie sam radę.

Poważnej poprawy wymaga także opieka nad zdrowiem studentów ze strony władz poszczególnych uczelni. Ale jak dotychczas kierownictwo zespołu nie daje sobie rady z bezdusznością i brakiem zainteresowania dla tej sprawy ze strony wielu rektoratów. A Wydział Zdrowia ma prawo i obowiązek wymagania od władz uczelni większej uwagi dla tych spraw.

Niestety Wydział Zdrowia Prezydium ŁRN od tych wszystkich spraw jak najdalej się odsuwa.

A przecież uchwały IX Plenum naszej partii mówią wyraźnie jakie zadania stoją przed służbą zdrowia w dziedzinie dalszego rozwoju instytucji zdrowotnych i lecznictwa. Minister Sztachelski wskazywał na poważny wzrost uświadomienia i ofiarności pracowników służby zdrowia. Czyżby wasz Wydział stanowił wyjątek?

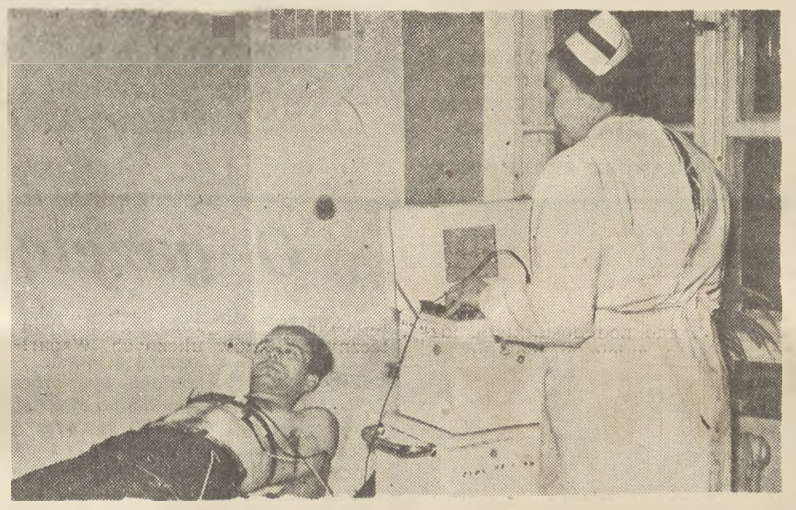

Akademicka służba zdrowia została wyposażona w nowoczesną aparaturę.

WNIOSKI.

Wniosek jest jeden generalny. Zastanowić się raz jeszcze nad uchwałami IX Plenum i do końca pojąć sens szczerej, głębokiej troski o człowieka.

BARBARA KRĘCIELEWSKA

Przed sesją jeszcze większym powodzeniem niż w ciągu całego roku, cieszą się biblioteki uniwersyteckie

Chociaż materiał do egzaminu z podstaw marksizmu - leninizmu jest już opanowany, nie zaszkodzi jeszcze raz przejrzeć prace towarzysza Stalina, mówiące o istocie sojuszu robotniczo - chłopskiego. Zwłaszcza, że po IX Plenum KC PZPR gruntowna znajomość tego zagadnienia jest konieczna dla każdego studenta.

Z życia NASZYCH UCZELNI

UCZYMY SIĘ KOCHAĆ MUZYKĘ

Studenci WSE w Szczecinie już od kilku tygodni uczęszczają na organizowane przez profesora Gordona wieczory muzyki poważnej. Profesor Gordon postawił sobie za cel wychowanie młodzieży na prawdziwych miłośników muzyki, wzbudzając w nich wiele uczucia podziwu dla piękna muzyki klasycznej. Najwięcej miejsca zajmuje muzyka narodu rosyjskiego. Słuchacze już zapoznali się z pracą i działalnością kompozytorów tej miary, co Mussorgski czy Rimskij-Korsakow — bojowników o nowe formy i treść w muzyce. Każdy wysłuchany utwór (z płyt) wyprzedzała krótka charakterystyka kompozytora na tle warunków społecznych, w jakich tworzył. Młodzież z uznaniem wita pogadanki profesora Gordona, umożliwiające jej uzupełnienie swojego wykształcenia muzycznego oraz pozwalające na pełne i głębokie zrozumienie muzyki.

ZENON KANTORSKI
WSE — Szczecin

SPOTKANIE Z DZIAŁACZAMI PARTII

Wypełniona po brzegi była aula Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu na spotkaniu młodzieży studenckiej ze starymi działaczami Komunistycznej Partii Polski. Gościem studentów był m. in. pierwszy sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Bydgoszczy, tow. Kruczek.

Towarzysze opowiedzieli młodzieży studenckiej o walce KPP na Pomorzu z faszystowskimi rządami Polski sanacyjnej, mówili o swojej działalności w szeregach KZM.

ZYGMUNT NAJDOWSKI
UMK — Toruń

STUDENCKA KONFERENCJA TEORETYCZNA NA POLITECHNICE GDAŃSKIEJ

Wydział architektury Politechniki Gdańskiej organizuje studencką Konferencję Teoretyczną na temat „Realizm socjalistyczny w architekturze". Konferencja odbędzie się w marcu, a w kwietniu zostanie zorganizowana ogólnopolska studencka Konferencja Teoretyczna Wydziałów Architektury w Gdańsku. W tej chwili studenci gdańscy pilnie przygotowują się do roli gospodarzy. Z Konferencją połączone jest bowiem urządzenie przez Koła Naukowe Wystawy Architektonicznej.

JANUSZ DERECKI
Politechnika Gdańska

SEKCJE SPORTOWE PRACUJĄ

Świetlica DS w Ligocie nie jest nigdy pusta. Wchodząc do niej rzuca się w oczy rozmaitość zajęć świetlicowych. Dużą popularnością cieszy się stół ping-pongowy, okupowany przez koleżanki i kolegów w chwilach wolnych od zajęć.

W miesiącu grudniu zorganizowano turniej tenisa stołowego, w którym startowało 32 zawodników, w tym 4 koleżanki. Zaszczytny tytuł mistrzyni DS zdobyła po raz drugi kol. Krystyna Zmieniecka, która nie straciła ani jednego punktu, drugie miejsce zajęła kol. Jadwiga Kopieczek.

W grupie męskiej zwyciężył kol. Marian Drabek, na drugim miejscu uplasował się Ryszard Gawroński, a na trzecim Jerzy Siemianowicz.

Dużą pomoc okazuje nam zawsze AZS przy WSE — Stalinogród przez należyte zaopatrzenie w sprzęt sportowy.

Po zakończeniu turnieju rozegrano towarzyskie spotkanie tenisa stołowego z „Kolejarzem" Ligota Ib, które zakończyło się zwycięstwem DS w stosunku 3:7. Na podkreślenie zasługuje fakt, że kol. J. Siemianowicz nie przegrał w tym meczu ani jednej partii.

Również i szachy cieszą się w naszej świetlicy dużym zainteresowaniem. Rozgrywane tu partie są zawsze żywo i bogato komentowane. Naszym szachistom przygotowujemy miłą niespodziankę. W miesiącu styczniu zostanie zorganizowany seans gry jednoczesnej z udziałem uczestnika ostatnich mistrzostw Polski, studenta naszej uczelni, Stefana Brzózki. Kol. Brzózka rozegra symultankę na 30 szachownicach.

Ostatnio dla miłośników gimnastyki przyrządowej utworzono sekcję gimnastyczną.

Największą popularnością cieszy się nowopowstała sekcja turystyczna, która już liczy ponad 100 osób. Sekcja ta zaplanowała urządzenie kilku wycieczek turystyczno-krajoznawczych, by udostępnić studentom i studentkom poznanie pięknych zakątków naszego kraju i zdobycie odznak turystycznych. Sekcje sportowe w dużej mierze przyczyniają się do tego, że DS w Ligocie tętni radosnym życiem młodych ludzi.

ZDZISŁAW MIKOSZ
WSE — Stalinogród

O skryptach, podręcznikach, wydawnictwach naukowych

PODRĘCZNIKI PWN

Witold Pogorzelski — **Analiza matematyczna.** Tom II. Wydanie czwarte.

Oskar Lange — **Zagadnienia ekonomii politycznej w świetle pracy J. Stalina: „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR".**

Aleksander Butlerow — **Teoria budowy związków organicznych.** (Wybór pism).

Tadeusz Miłobędzki — **Szkoła analizy ilościowej.**

Henryk Ułaszyn — **Zarys wymowy rosyjskiej.**

J. Lenin — **Zaostrzenie kryzysu imperium brytyjskiego po drugiej wojnie światowej.**

Arkadiusz Piekara — **Mikrofale i spektroskopia mikrofalowa.**

Zygmunt Tobolewski — **Porosty** (Klucz).

Kazimierz Sembrat — **Stułbia.**

Edmund Malinowski — **Anatomia roślin.**

Ludwik Feuerbach — **O religii.**

Witold Tomasi — **Podstawy termodynamiki chemicznej.**

Wacław Brzeziński — **Prawo mieszkaniowe.**

SKRYPTY

J. Kuczyński (opr. zbior.) — **Projektowanie prostych konstrukcji budowlanych.** Tom I: mury — fundamenty — stropy. Tom II: dachy — obliczenia izolacji cieplnej — wymiarowanie pieców ceramicznych.

W. Latek — **Badanie maszyn elektrycznych prądu stałego.**

M. Brzostowski — **Podstawy mostownictwa.**

B. Hummel — **Mosty mniejsze stalowe.**

S. Stępowski — **Atlas części maszyn.**

R. Kurdziela (opr. zbior.) — **Urządzenia elektryczne niskiego napięcia.** Część druga: Przyrządy rozdzielcze i instalacje elektryczne niskiego napięcia. Zeszyt I.

St. Szpora (oprac. Wł. Kuźniar) — **Przepięcia i ochrona przeciwprzepięciowa.**

A. Langrod — **Hamulce kolejowe o sprężonym powietrzu.**

St. Bryl — **Zarys konstrukcji stalowych.** Część III.

K. Ulatowski — **Historia architektury powszechnej.** Część II — Starożytna Grecja.

J. Sinkowski — **Założenie kopalni.** Wyd. II.

W. Mamak — **Regulacja rzek.**

Z. Nawrocki — **Matematyczne podstawy statystyki dla zootechników.**

A. Świątek — **Technologia serowarstwa i preparatów mleczarskich.** Część I.

S. Alwin i K. Zaleski — **Choroby roślin.** II Część ogólna — Środki i technika walki z chorobami roślin.

J. Budsławski — **Ćwiczenia z analizy mleka i przetworów mleczarskich.** Wyd. II

R. Łukasik — **Rachunkowość w przemyśle drzewnym.** Podstawy.

A. Cegielski — **Organizacja i planowanie obiegu pieniężnego.**

A. Prejbisz — **Teksty angielskie dla wyższych szkół ekonomicznych.** Część II.

L. Kurowski (oprac. zbiorowe) — **Prawo finansowe.** Część II.

Z. Ryzewicz — **Paleozoologia.** Część II — Kręgowce.

Fr. Machalski — **Wypisy Perskie** (Literatura współczesnego Iranu).

M. Knobloch i Wł. Kulawik — **Rachunkowość dla szkół artystycznych.**

J. Szpak — **Przenośniki.**

M. Woźniak (oprac. zbiorowe) — **Pospieszne metody analizy stali.**

H. Hofmokl i A. Zawadzki — **Ćwiczenia w pracowni fizycznej.**

A. Wolter — **Prawo cywilne.** (Część ogólna).

L. Rodziewicz — **Historia sztuki chińskiej.**

R. Kurdziel (praca zbiorowa) — **Urządzenia elektryczne niskiego napięcia.** (Część II. Zeszyt II).

A. Mitzel — **Silosy i zbiorniki.**

J. Folfasiński — **Niemetaliczne materiały łożyskowe w hutnictwie.**

J. Zaus — **Budownictwo żelbetowe.** Cześć pierwsza.

R. Rucki — **Mechanizacja robót budowlanych.** Część II. Atlas części II.

H. Buzun — **Mechanika ogólna.** Część III — dynamika.

J. Pałak — **Gospodarka paszowa.**

W. Wegorek — **Nauka o szkodnikach roślin.** (Cześć II szczegółowa).

S. Prosiński, Z. Adamski, A. Przybylak — **Ćwiczenia z chemicznej technologii drewna.**

T. Janiak — **Schorzenia narządu mowego zwierząt domowych.**

K. Rogaliński, J. Chodobiecki — **Towaroznawstwo drzewne.**

F. Krzysik (pr. zbiorowa) — **Nauka o drewnie.** Wyd. II.

Z. Bldziński — **Planowanie obrotu płatniczego i zagadnienia dewizowe.**

S. Skupiński — **Chemia analityczna.** Cześć III — analiza ilościowa.

C. Berezowski — **Zarys międzynarodowego prawa publicznego** (źródła, podmioty, obrót, załatwianie sporów, prawo wojenne).

H. Homfokl, A. Zawadzki — **Ćwiczenia w pracowni fizycznej.** Tom II.

W. Urbański — **Zarys rachunku wektorowego.**

A. Bielecki — **Geometria wyższa.**

NOWY NUMER „MYŚLI FILOZOFICZNEJ"

Ukazał się nowy (4/10) numer kwartalnika „Myśl filozoficzna", który zawiera szereg interesujących dla studentów pozycji, m. in. takie jak:

B. Suchodolski — **Społeczne i filozoficzne problemy polskiego Odrodzenia.** Z. Bauman i J. Wiatr — **O roli mas w historii.** M. Fritzhand — **O zagadnieniu wolności i konieczności.** J. Sickierska — **Niektóre problemy estetyki w pracach Marksa i Engelsa.** W. A. Fock — **Współczesna teoria przestrzeni i czasu.** H. Eilstein — **Leninowskie pojęcie materii a idealizm fizyczny.** Ł. Kurdybacha — **Andrzej Frycz Modrzewski.** D. I. Zasławski — **Filozoficzne majaczenia watykańskich jezuitów.**

„EKONOMISTA"

Nowy numer „Ekonomisty" (III kwartał 1953) zawiera m. in. takie pozycje jak:

St. Arnold — **Przekształcenia gospodarcze i społeczne w Polsce w okresie Odrodzenia.** J. Tepicht — **Niektóre problemy rozwoju układu socjalistycznego w rolnictwie Polski Ludowej.** Ch. Bettelheim — **Zaostrzanie się przeciwieństw ekonomicznych w Europie Zachodniej.** K. Łaski — **Wytwarzanie i podział dochodu narodowego w socjalizmie.**

UWAGA — 80 PROC. ZNIŻKI

Wydział Zbytu Administracji Czasopism Technicznych przy NOT zawiadamia młodzież studiującą, że posiada w sprzedaży (Warszawa, ul. Czackiego 3/5) z 80 proc. zniżką następujące czasopisma z lat ubiegłych: Architektura, Budownictwo Przemysłowe, Horyzonty Techniki, Inżynieria i Budownictwo, Mechanik, Przegląd Budowlany, Przegląd Elektrotechniczny, Przegląd Geodezyjny, Przegląd Mechaniczny, Przegląd Spawalnictwa, Przemysł Chemiczny, Przegląd Techniczny, Przegląd Telekomunikacyjny, Przemysł Drzewny, Przemysł Rolny i Spożywczy, Przemysł Włókienniczy, Technika Lotnicza, Technika Motoryzacyjna i wiele innych.

Wydawca: Instytut Prasy „Czytelnik"
Redaguje kolegium
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul. Wiejska 17/1 Telefony redaktor — 84124 Centrala — 83291
Prenumerata: w urzędzie pocztowym najbliższym miejsca zamieszkania lub PPK „Ruch" Konto PKO nr 1-8003 — Warszawa w terminie do 10 każdego miesiąca na miesiąc następny. Miesięcznie zł 1 40 kwartalnie — 4.20 półrocznie — 8.40 rocznie — 16.80
Administracja: RSW „Prasa" III Delegatura Warszawa ul. Marszałkowska 8 tel. 80711
Drukarnia: RSW „Prasa" Warszawa Marszałkowska 3/5
5-B-10022

Jak to nazwać?

Nie my pierwsi jesteśmy wyrazicielami opinii, że wyjaśnienie powinno sprawę w y j a ś n i ć.

Innego zdania są jednak niektóre Ekspozytury ZOA. Swiadczą o tym ich wypowiedzi nadesłane do redakcji. Na przykład Ekspozytura Warszawska...

Najpierw na nasze liczne interwencje po prostu nie odpowiadała. W końcu sprowokowała naszą notatką pt. „Historia naprawdę skandaliczna", udzieliła nam wyjaśnienia, z którego niezbicie wynika, że wszystkie niedociągnięcia są skutkami... obiektywnych przyczyn i nieobiektywnej krytyki prasowej.

W jakiej to sprawie interweniowaliśmy?

Otóż z początkiem bieżącego roku akademickiego dokonaliśmy lustracji domów akademickich, oceniając stan ich przygotowania do przyjęcia mieszkańców. Dom przy ulicy Elekcyjnej przeszedł nasze wszelkie oczekiwania. Niestety w sensie ujemnym. Przywitały nas ziejące chłodem i świeżym wapnem, zupełnie niewyposażone pokoje. Korytarzami snuli się rozczarowani i zdezorientowani studenci. Również zdezorientowany był towarzyszący nam przedstawiciel ZOA. Gorącymi słowy zapewniał, że nazajutrz zostaną tu skierowane wszystkie siły w celu usunięcia niedociągnięć. W pewnym sensie słowa dotrzymał: następnego dnia zjawiła się w redakcji pracowniczka Ekspozytury, która próbowała usunąć... nasze przykre wrażenia i otrzymać obietnicę, że pismo nie zamieści krytycznej notatki o DA przy Elekcyjnej.

Ale my... nie mogliśmy przemilczeć stałych żalów mieszkańców owego domu, w którym nie było wody i bardzo często światła, nie podłączono gazu, nie uruchomiono łaźni. I na tę oto notatkę otrzymaliśmy odpowiedź, którą Ekspozytura ZOA uważa za wyjaśnienie.

Czym więc tłumaczy ZOA wszystkie braki?

— **Rekordowym czasem budowy.** Ekspozytura pisze dosłownie: *„Domy Akademickie przy ulicy Elekcyjnej zostały wybudowane w rekordowym czasie, bo w 135 dni, podczas, gdy harmonogram prac przewidywał zakończenie robót w I-szym kwartale 1954 r., a więc domy te zostały oddane do użytku w kilka miesięcy przed ustalonym terminem. Stało się to dzięki ofiarnej pracy załóg robotniczych, które zdawały sobie dokładnie sprawę, że jeśli nie przyśpieszą wykonania robót, to ogromna rzesza studentów, bo ok 1000 osób, może pozostać bez dachu nad głową, a w najlepszym razie zostanie zakwaterowana po różnych domach akademickich, przy niewspółmiernym zagęszczeniu, w warunkach uniemożliwiających im bytowanie, a przede wszystkim kontynuowanie nauki. Nie było więc niespodzianką dla Ekspozytury i przedsiębiorstwa budowlanego, że skutkiem nadludzkiego wysiłku i pośpiechu robotników mogą powstać i powstaną pewne niedociągnięcia i usterki tej lub innej natury technicznej oraz braki nie tak łatwe do usunięcia.*

Obiektywna krytyka prasowa, wskazująca różne braki i ewentualne niedopatrzenia dużo pomaga nam w pracy i działa mobilizująco W tym jednak przypadku wydaje się nam wątpliwe, czy autor notatki, występujący pod pseudonimem „BEK" miał odrobinę słuszności, gdyż pracownicy ZOA uczynili wszystko co było w ich mocy i nie szczędzili wysiłku, by dobrze i na czas przygotować mieszkania. Inaczej natomiast postąpili studenci Akademii Medycznej i UW, którzy bezzasadnie poskarżyli się Redakcji na braki i brudy, które sami spowodowali".

A więc okazuje się, to nie ZOA zawinił, a robotnicy, którzy za szybko zbudowali dom Ciekawe...

A jeśli winien jest jeszcze ktoś to.. sami studenci dlatego że *„bezzasadnie poskarżyli się na braki..."* Jeszcze ciekawsze..

Przecież to obietnica ZOA, a nie studentów i robotników brzmiała: „Wszystkie siły zostaną skierowane w celu usunięcia niedociągnięć".

Dlaczego w wyjaśnieniu nie ma ani słowa o przyczynach, które złożyły się na żółwie wprost tempo robót g o s p o d a r c z y c h

Naszym zdaniem taki stosunek do krytyki jest niepoważny. Czyżbyśmy mieli przypomnieć ZOA co na ten temat mówi Uchwała Rady Państwa?

Czy nie lepiej postąpić tak jak Wasza siostrzana instytucja w Lublinie, która najzwyczajniej pisze:

„W związku z zamieszczoną w nr 51 „Poprostu" z dnia 15 XII. 1953 r notatką krytyczną dot. szatni w stołówce akademickiej przy ul Leszczyńskiego 70 Zarząd Ośrodków Akademickich Ekspozytura w Lublinie wyjaśnia:

Wskazane przez Was usterki w stołówce akademickiej przy ul Leszczyńskiego 70 rzeczywiście miały miejsce i w związku z tym ZOA zainstalował natychmiast po ukazaniu się w Waszym piśmie notatki krytycznej na ten temat, wieszaki na 120 palt".

Krótko, prosto i z sensem.

bek.

Stefan Dziedzic

Najpopularniejszym sportem zimowym jest bezsprzecznie narciarstwo. Jednym z najpopularniejszych narciarzy Akademickiego Zrzeszenia Sportowego — na pewno — Stefan Dziedzic.

Urodził się w samym sercu gór, tam, gdzie znajduje się dziś dolna stacja kolejki linowej na Kasprowy Wierch. Gdy miał cztery lata, pierwsze „deski" zrobił mu ojciec z dziobów starych nart. Wkrótce mały Stefanek szusował z powodzeniem po okolicznych wzniesieniach. Rodzicom Stefana nie łatwo było przed wojną, zdobyć dla syna ekwipunek narciarski. Nieraz kosztem wielu wyrzeczeń, kupowali mu ze skromnej płacy robotniczej stary sprzęt narciarski.

Z podziwem patrzył wtedy Dziedzic na Bronisława Czecha, Stanisława Marusarza i innych znanych narciarzy — marzył o starcie w wielkich zawodach, o zwycięstwach.

Stefan uczył się sam, wzorując się na przykładzie i wskazówkach starszych kolegów. Nie było bowiem wówczas szkół narciarskich, ani opieki, jaką dziś roztacza się nad dziećmi i młodzieżą. Marzenia o starcie przerywa jednak okupacja i Stefan, mimo swych 12 lat, musi ciężko pracować. Nigdy jednak nie rozstaje się z ukochanymi nartami.

Przychodzi wyzwolenie. Dziedzic rozpoczyna swoją bogatą karierę narciarską w Harcerskim Klubie Narciarskim w Zakopanem. Po raz pierwszy staje na starcie biegu juniorów na dystansie 10 km. Startuje na nartach zjazdowych bez kantów z wiązaniami przedłużonymi drutem. Dla pewności zabiera do kieszeni rolkę drutu i kleszcze, by w razie przerwania drutu, zastąpić go nowym na trasie biegu.

Widzi, że jego konkurenci mają dobre biegowe narty, ale nie zraża się tym, i kończy bieg, zajmując drugie miejsce. Zachęca go to do dalszej pracy nad sobą i upartego treningu.

Stefan nie zapomina jednak o nauce. Nadrabia zaległości okupacyjne, pilnie uczy się i przygotowuje do matury.

Dobre wyniki uzyskane w 1946 r. w czasie licznych zawodów zwróciły uwagę na Dziedzica. W styczniu 1947 r. 19-letni Stefan dostępuje po raz pierwszy zaszczytu reprezentowania barw Polski za granicą — na VII Zimowych Akademickich Mistrzostwach Świata w Davos. Na ogół ani w kraju, ani za granicą nie liczono się wtedy z możliwością uzyskania sukcesów przez polskich studentów w niedługim czasie po zakończeniu wojny.

Pierwszy start Stefana za granicą — to bieg na 16 km. Nie uląkł się dobrych biegaczy włoskich, austriackich i szwajcarskich. Z podziwem patrzyli wszyscy, jak młody, nieznany jeszcze Polak mijał na trasie jednego zawodnika po drugim. Z niecierpliwością oczekiwał na wynik. Wreszcie usłyszał z megafonu: „...w biegu na 16 km. drugie miejsce i srebrny medal oraz tytuł akademickiego wicemistrza świata zdobył Stefan Dziedzic — Polska". Długo nie mógł ochłonąć z wrażenia i radości. Dziękował kolegom za pomoc i wskazówki. W Davos odnosi dalszy sukces, zajmując drugie miejsce w kombinacji klasycznej (bieg i skoki). Był także uczestnikiem zwycięskiej sztafety polskiej 4 x 8 km., która zdobywa złoty medal. Stefan Dziedzic znacznie przyczynił się w Davos do zdobycia przez polskich studentów zespołowego Akademickiego Mistrzostwa Świata w narciarstwie.

Stefan zdobył w Davos ostrogi reprezentacyjne, przekonał się, że tylko wytrwała praca nad sobą przynosi sukcesy. Zobaczył też w Szwajcarii z jednej strony luksus i przepych życia klas posiadających, z drugiej strajk wyzyskiwanych robotników porządkujących lodowisko i ciężkie warunki ich życia. Zobaczył świat, który przypomniał mu i wyjaśnił wiele z jego trudnych lat dzieciństwa. Jakże inaczej — myślał — jest dziś w naszym kraju.

Po sukcesach w Davos, zdobywa Dziedzic po raz pierwszy mistrzostwo Polski w biegu na 18 km. i w kombinacji klasycznej. Był to chyba jeden z najszczęśliwszych dni w jego karierze narciarskiej. Spełniły się marzenia chłopięcych lat. Stary stadion pod Krokwią, wszyscy przyjaciele i koledzy byli świadkami jego zwycięstwa.

Potem przyszło pasmo wielu, wielu sukcesów. Oprócz zdobycia tytułów Akademickiego Mistrza Świata w Szpindlerowym Młynie w 1949 r. i Poiana-Stalin w 1951 r. oraz wicemistrzostwa świata w Semmering w 1953 r., jest wielokrotnie Mistrzem Polski w konkurencjach klasycznych i alpejskich, startuje na Olimpiadzie w Oslo i do dziś jest stale w czołówce naszych zjazdowców.

Równocześnie kończy w normalnym czasie Wyższą Szkołę Ekonomiczną w Krakowie i zakłada rodzinę. Ma miłą żonę i uroczą małą córeczkę.

Jak zawsze jest uczynny i koleżeński. Wiele czasu poświęca pracy instruktorskiej w Akademickim Zrzeszeniu Sportowym.

Dużo rad i wskazówek udzielał zawsze swym rywalom, a szczególnie najgroźniejszemu z nich Andrzejowi Rojowi i zawsze serdecznie gratulował mu sukcesów. Zwycięstwa kolegów cieszyły go tak, jak własne.

Stefan prócz narciarstwa uprawia jeszcze wiele innych sportów w zakopiańskim AZS-ie.

Znają go polscy sportowcy, zna młodzież studencka z wielu odcinków pracy.

Władza ludowa oceniła pracę Stefana Dziedzica — sportowca, instruktora i działacza—przyznając mu zaszczytny tytuł Zasłużonego Mistrza Sportu.

JANUSZ SZAŁKOWSKI

„Uwaga na młodość"

Nieczuła na chłód i padający za kołnierz śnieg, ciżba ludzi wędruje na ul. Myśliwiecką. Zza wysokich nasypów furkoczą jedwabne emblematy zrzeszeń sportowych. Tafla warszawskiego lodowiska błyszczy w świetle lamp, jak lustro. Dookoła niej tłumy publiczności. W takt marsza na Torwar wjeżdżają hokeiści: Dynamo (NRD), CWKS i innych zrzeszeń sportowych, a wśród nich i AZS oraz łyżwiarze-szybkobiegacze i figurowcy. Widok wspaniały. Wszyscy radośnie biją brawo.

*

A pamiętam, jak jeszcze w roku ubiegłym czytaliśmy i mówiliśmy tylko o pracy Torstalu. Każdy wtedy wzdychał: „Gdyby jeszcze było drugie lodowisko".

To były westchnienia. A dziś? Sprawa jest faktem dokonanym. Od miesiąca mamy w Warszawie sztuczne lodowisko. Słowa zmieniły się w czyn. Łyżwiarze, hokeiści i inni „lodowcy"-entuzjaści z radością krzyczą: hura!

A co my, studenci? Czy wiemy, że lodowisko istnieje i pracuje? Na pewno nie wszyscy. Niektórym z nas chłód zamroził uszy i oczy. Jest zima, otulamy się więc szczelniej w palta, nie myśląc absolutnie o sporcie. „To nie dla studentów". Czy tak?

Nie myślę w tej chwili zacząć pisać pogadanki naukowej pt. „Studenci i sport", ale chcę przypomnieć, że właśnie w tych dniach, a konkretnie 3 stycznia, nastąpiło oficjalne otwarcie sezonu zimowego.

W Zakopanem, Szczyrku, Stalinogrodzie, Krynicy, Warszawie i innych miejscowościach, miłośnicy sportów zimowych oficjalnie rozpoczęli sezon. Dość długo trzeba byłoby wymieniać wszystkie odbyte imprezy. Zatrzymamy się na razie na Warszawie, która była pierwszy raz świadkiem takiej uroczystości.

Pokazy łyżwiarzy figurowych, bajka na lodzie i wreszcie mecz hokejowy Dynamo (NRD) — CWKS przez 3 godziny trzymały na mrozie tupiącą publiczność. Tak. Było troszkę zimno — ale wszyscy stali wytrwale. Przecież to niecodzienny widok.

Foto CAF

Podobnie było w Szklarskiej Porębie — i Karpaczu — gdzie startowali saneczkarze, w Zakopanem — w czasie zawodów narciarskich, w Elblągu — na wyścigach jazdy szybkiej i innych miastach lub wsiach, w których grali hokeiści. Np. w Toruniu miejscowy Kolejarz wygrał z AZS Stalinogród (6:2).

Tam, gdzie nie było „wielkich" zawodów, odbywały się narciarskie biegi patrolowe. Niestety, z podanych meldunków widać jak na dłoni, że większość braci studenckiej zawiodła. Pochowała się przezornie w domach, zostawiając zawody dla innych — „nie-studentów". (Niech nie gniewają się ci, którzy startowali). Zapomniała, lub może nie wie, ile radości i zadowolenia dają łyżwy, narty czy sanki.

Przypominam sobie, jak w czasie wspomnianego meczu hokejowego Dynamo — CWKS, gdy nasi zawodnicy grali słabo, jakiś student z Uniwersytetu powiedział: „Gdybym z moimi kolegami z grupy trenował, na pewno gralibyśmy lepiej". — No, to dlaczego nie trenujesz? — cisnęło mi się pytanie. — Czemu „marnujesz" młode lata? Czy dlatego, że studiujesz matematykę, filozofię lub dyplomację?

Coś jest tu nie w porządku. Warunki są, sprzęt, opieka też, tylko chęci brak. Jakieś zgnuśnienie.

Nie spać koleżanki i koledzy! Przypomnijmy sobie Dziedzica, Roja, ligowy zespół hokejowy AZS Stalinogród, innych sportowców-studentów i korzystajmy z naszej młodości. Zima mija szybko, jedna za drugą. Lata — także.

JAN BUDKIEWICZ

po krzywy

W naszym ogródku

NAM JEST ZIMNO...

W DS nr 13 przy ul. Kościuszki 61, w Sopocie, na drugim piętrze brak kaloryferów. Zdawałoby się, że wszystko jest w porządku, ponieważ są piece, a jednak fakty mówią co innego.

Do czasu większych mrozów, tzn. do pierwszych dni grudnia, przydzielano do każdego pieca — bez względu na to, czy pokój jest 2-osobowy, czy 6-cioosobowy— całe wiadro węgla dziennie. W pokojach mniejszych było ciepło, ale mieszkanki pokoju nr 34 (6 osób) prosiły administrację o większy przydział, gdyż piec (ściśle mówiąc piecyk) niedostatecznie ogrzewa pokój. Interwencja koleżanek odniosła wręcz przeciwny skutek i obecny przydział węgla wynosi aż... pół wiaderka. Niestety, mimo naszych najlepszych chęci, taka ilość (ok. 5 kg) nie wytworzy ciepła potrzebnego do ogrzania 6-cioosobowego pokoju o 3-ch oknach, przez które wiatr nieustannie „t u s z a f i r a n k i". Należy zaznaczyć, że okna są pojedyncze, gdyż dawniej pokój 34 „występował" w charakterze strychu. Jednym słowem warunki są bardziej niż złe. Przed południem — owszem — w pokoju jest ciepło, ale my w tym czasie jesteśmy na uczelni, a wieczorem nic już nie przypomina, że właśnie tego dnia palono. O temperaturze pokoju 34 świadczą fakty:

— woda zamarzająca w szklankach

— zmarznięte kwiaty doniczkowe

— para, wychodząca z naszych organów oddechowych

— gorąca herbata, która stygnie w szklankach, zanim ktokolwiek zdąży wypić połowę.

Problem spania przedstawia się następująco: jedna z koleżanek nocuje w pokoju nr 6 (gdzie jest względnie ciepło), druga przywiozła z domu pierzynę, a pozostałe śpią po dwie, ubierając się na noc w skarpetki, rękawiczki, szaliki, ciepłe bluzki względnie swetry itp. O zdjęciu dziennej bielizny nie może być mowy. W naszych warunkach realne staje się powiedzenie: „Przeziębiłam się, bo spałam bez skarpetek". W oknach pozawieszałyśmy koce, w wyniku czego 3 łóżka nie mogą być przykryte, a światło musi się palić w czasie naszej obecności w pokoju, niezależnie od pory dnia.

Żadne interwencje z naszej strony jak również ze strony naszego lekarza dr Uczyckiej oraz administratora p. Domagalskiego — nie pomagają. ZOA wysyła różne komisje (uczelnia i samorząd DS również), ale każda komisja składa nam „wyrazy głębokiego współczucia". Ogólnie stwierdza się, że stan taki jest niemożliwy ze względów higienicznych, naukowych, ekonomicznych i innych, ale na tym się kończy.

Bo cóż właściwie nasze warunki mieszkaniowe obchodzą pracowników gdańskiego Zarządu Ośrodków Akademickich, którzy w domu mają ciepło, którzy nie muszą marznąć gdy wrócą z pracy, którzy nie muszą spać w ubraniach. Potrafią oni ograniczać węgiel przeznaczony na Domu Studenckie. Widzą tylko suche cyfry i swoje papierki, ale nie widzą naszego życia. Ponieważ nasze głosy nie docierają z Sopot do Gdańska, mamy nadzieję, że dotrze głos POPROSTU aż z Warszawy.

Mieszkanki pokoju 34

(—) **Barbara Gołębiowska**
(—) **Zofia Kopczyńska**
(—) **Halina Marcinkiewicz**
(—) **Alina Nisio**
(—) **Maria Szczukowska**
(—) **Małgorzata Szołdra**

Stwierdzam autentyczność powyższych faktów

Przew. DA nr 13
(—) **Albina Bielecka**

PS.

Prosimy o jak najszybsze opublikowanie naszego listu na łamach POPROSTU, bo wiemy z własnego doświadczenia, że z naszym Ośrodkiem załatwić inaczej nie można, a tymczasem my naprawdę marzniemy.

Za pokój 34

B. Gołębiowska.

List studentek podajemy bez komentarzy! (Red).

*

O, dzięki, wam, koledzy z KU ZSP na WSE w Poznaniu! Dzięki wam za wzbogacanie rodzimego języka w pismach urzędowych! W piśmie Waszym do redakcji POPROSTU piszecie: „W sprawach różnych zebrania prezydium KU ZSP. W dniu 16.XII.53 omówiono tę sprawę, po czym postanowiono, aby w każdych przyszłych ewentualnych wypadkach podejmowano natychmiastowe wszelkie możliwe kroki w celu ich zlikwidowania".

A nieco dalej mówicie o „chigienicznym stanie ubikacji".

Podejmujemy natychmiastowe wszelkie możliwe kroki, by w każdych przyszłych ewentualnych wypadkach, „chistoria" wam tego nie zapomniała.

◆

ZU na Akademii Medycznej w Poznaniu opracował rewelacyjną metodę pracy, całkowicie zastępującą załatwianie spraw. Co prawda metoda ta znana jest już od dawna pod nazwą „odfajkowywania", ale nie posądzamy ZU AM o plagiat, a raczej widzimy jedynie zbieg okoliczności.

Otóż ZU AM umieścił na jednej ze ścian estetyczną tablicę z napisem: „Przegląd AM". Owszem: treść dobra, dowcipne rysunki, ciekawe artykuły. Ale...

Właśnie, ale. Nikt się nie interesuje, czy wytknięte w „Przeglądzie" błędy zostają usunięte. Po co? Sprawa „odfajkowana", „problem" załatwiony.

To samo stało się ze sprawą zreorganizowania szatni w Collegium Anatomicum, gdzie dzieją się dantejskie sceny przy odbieraniu płaszczy.

na podst. koresp.
ZDZISŁAWA KRYSIŃSKIEGO
A. M. — Poznań

◆

Kolega Jerzy Olczak z III roku historii kultury materialnej Uniwersytetu Poznańskiego pisze do nas w imieniu swoich kolegów błagając o 1 (słownie: jedną) salkę (zdrobniałe od: sala). Chwilowo salek na składzie nie mamy, ale z ochotą pomożemy wam apelując do sumienia niewątpliwie sumiennej administracji Uniwersytetu Poznańskiego: dajcie H.K.M-istom salkę! Potrzebna im jest jedna, mała salka, gdzieby w wolnych godzinach między wykładami mogli załatwiać sprawy związane z pracą koła ZMP. ZSP, zespołu artystycznego czy też po prostu porozmawiać. Bo to nie wypada, żeby studenci spędzali czas między wykładami na korytarzach albo na mrozie.

MARZENIE

Na fizjologii, w czasie demonstracji odruchów, profesor prosi badanego studenta, aby nie myślał o badaniu, lecz o czymś dalekim, innym, — aby marzył...

Głos z sali: — Pomyśl, żeś już zdał egzamin z fizjologii, i wesoły wychodzisz z tego zakładu.

Kol. Dyś student IV roku wydziału rolnego WSR we Wrocławiu, po powrocie z praktyki, zobowiązał się napisać do gazetki ściennej. Już przeszło miesiąc kolegium redakcyjne gazetki czeka na przyrzeczony artykuł bez skutku.
rys. J. Zabawski — **Cz. Kania WSR — Wrocław.**

POKORNA PROŚBA

O gazetce ściennej słów kilkoro

Po długiej, bardzo długiej przerwie zmartwychwstaje nasza gazetka ścienna.

W chwilach tak uroczystych wypada powiedzieć o niej słów kilkoro. A historia jej jest piękna i wzniosła. I pouczająca. Prawie dwa lata temu stanął u steru gazetki młodzian piękny i posępny, imieniem Gancarczyk. Wąs jeszcze mu się nie sypał, ale szeptano tu i ówdzie iż Gancarczyk para się twórczością poetycką, a ściślej mówiąc: poezją liryczną. Zaskarbiło mu to z miejsca łaski u płci i znawców literatury pięknej.

Gancarczyk żwawo wziął się do dzieła: z rzewnym płaczem biegał od grupy do grupy, błagał o artykuły. Łapał kogo mógł w kinie, w teatrze, w muzeum, na randce etc. etc.

I wreszcie... powstała jak Minerwa z głowy Jowisza — Gazetka (Jowisz — Gancarczyk; Minerwa — Gazetka). Zdobiona w piękne liście, zawierała, sądzę, bogatą i piękną treść.

Jednakże każdy z nas, studentów polonistyki, wie, że nasza dyscyplina naukowa nie zachęca do nadmiernego czytania. Dlatego też gazetki nikt nie czytał.

Jakże dziwne się wydaje, że żaden z nagłówków („Oto zbliża się radosna chwila...", „W dniu dzisiejszym obchodzimy...", „W związku z zebraniem...", „Jutro o godzinie...") nie wzruszał nikogo do łez, chociaż chyba powinien. Później przyzwyczaiłem się już do tych tytułów, bo sam je pisałem.

Wisiała więc, wisiała samotnie nasza gazetka bezczeszczona złośliwymi uwagami nawet tak wielkich estetów jak Władek Lorenc.

Dalsze losy gazetki i Gancarczyka stawały się coraz smutniejsze. Wierny im pozostał jedynie autor niniejszego oraz jeden szaleniec imieniem Zbyszek Siatkowski. Pisał on felietony z mottem. Felietonów nikt nie rozumiał, motto było zgoła zbyteczne, ale autor zyskiwał rozgłos i sławę.

Gazetka konała. Powoli, ale pewnie. Wreszcie, któregoś dnia, skonała. Nie pomogła nawet interwencja Wandy (Gębalskiej). Gancarczyk zniknął na trzy dni. Mówili, że się zamknął w pokoju i płacze jak Priam nad Troją. Pojawił się czwartego dnia na wykładach, ale na obliczu miał wyryte: „Nie będę dalej redagował gazetki". I powstał poważny dylemat: kogo rzucić gazetce na pożarcie? Janusz Budziński oraz kilku co sprytniejszych szybko przyjęło parę innych odpowiedzialnych funkcji. Tak na wszelki wypadek, gdyby ich chciano... właśnie, do gazetki.

Wreszcie los padł na mnie. Praca do złudzenia przypominała męki czyśćcowe: w dniu, w którym gazetka powinna się ukazać, na stole jej redaktora leżał jeden artykuł napisany przez niego samego oraz podstępnie wyłudzony od Wieśki Grochali wiersz. Rozumiejąc błędnie, że czytelnicy gazetki posiadają sumienie, zaapelowałem do nich płomienną filipiką („Do P.T. Drogich Czytelników"). Istotnie, wszyscy, którzy to przeczytali, zjawili się u mnie ze słowami współczucia i gratulacjami („Aleś im przygadał. Teraz będą na pewno pisali".) Jednakże żaden ze współczujących nic nie napisał.

Grono najbliższych przyjaciół wystarczyło na jedną gazetkę. Następną próbowałem zapełnić stosując środki administracyjne, co w efekcie dało wspaniałe wydanie „Przedszkolaka".

Wkrótce złożyłem urząd. Mój następca, imieniem Pawlik, dokonywał cudów waleczności, aby wydać

chociaż dwa numery (na rok). Nie udało się. Nie tyle z zainteresowania problemem, ale z przyzwyczajenia poruszano długo i rozwlekle sprawę gazetki na każdym zebraniu. Powstała nawet grupa miłośników gazetki i druga, specjalistów od wymyślania na gazetkę.

Wreszcie, na dwa miesiące przed sesją, gazetka skonała po raz drugi. W czasie żałobnych manifestacji przemawiali: Wanda Gębalska, Władek Lorenc, Witek Nowosielski.

Ostatnio zaczynają krążyć dziwne wieści o ekshumacji gazetki. I że jakoby ma ją objąć znany nam już Zbigniew Siatkowski. Wzbogacony doświadczeniami poprzedników może ruszy historię naprzód. Może będziemy mogli powiedzieć podobnie jak Beaumarchais: „Śmiejmy się, bo nie wiadomo, czy gazetka potrwa trzy tygodnie".

TADEUSZ BUJNICKI
UJ — Kraków

BOGUSŁAW WOJNAR

Nie działa

W pewnym mieście, przy X ulicy,
(Dokładny adres nie gra roli)
Mieszkają nasi czytelnicy,
Czyli studenci. Jak kto woli.

W Domu Studenckim naturalnie,
W którym jest wygód cały szereg,
A oprócz tego, każdy zgadnie,
Jest cały szereg też usterek.

W pokoju do nauki cichej
Na każdym stole lampa mała.
Przekręcasz kontakt. Co za licho?
Nie działa!

Jest umywalnia, a nad nią kran,
W nim ciepła woda, rzecz wspaniała,
Ale z tym kranem wyniknął kram:
Nie działa!

W każdym pokoju głośnik stoi.
W głośniku cały świat bez mała.
Podchodzisz, włączasz, kręcisz no i
Nie działa!

Wszystko centralnie jest ogrzane,
Więc każdy pokój, każda sala.
I kocioł wielki tam jest, ale
Nie działa!

Opiekę ZOA ma nad domem.
Dyrektor chęcią czynu pała.
Tylko niedobrze jest — albowiem
Nie działa!

W. GŁOWACKI

Pojedynek

Jak donosi „Gazeta Krakowska" niedawno w Krakowie odbył się pojedynek między dwoma studentami UJ. Walka zakończyła się niegroźnymi — na szczęście — zranieniami obu „stron".

Pewien student, fizyk z UJ, z drugim takim samym
Rozstrzygając spór (o damę?) bili się szablami.
I choć mimo ran nikomu nie ścięto „makówki",
Ocalała j e d n a głowa... czyli dwa półgłówki.